Nr. 43. Warszawa, dnia 28 (16) Października 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

POLITYKA.

ŻAŁOSNY KOMIZM.

W poprzednim numerze nasz korespondent wiedeński zarysował fatalne położenie, w jakiem się znalazła lewica niemiecka wobec rządowego projektu reformy wyborczej. Z logiki powinna ona głosować za tym projektem, a nawet posunąć go dalej w kierunku liberalnym; z interesu wszakże musi mu się opierać całą siłą. Jakkolwiek dwa te sprzeczne ognie najbardziej dopiekają rzeszy Plenera, znajdują się między nimi również inne „wielkie stronnictwa.“ Gdybyśmy każde z nich zapytali: czy uznaje obecny system wyborczy za doskonały, czy nie chciałoby do niego włączyć olbrzymiej masy obywateli, które kastowość wydziedziczyła z praw konstytucyjnych — z pewnością każde odpowiedziałoby gotowością naprawienia krzywdy, wyrządzonej „młodszym braciom,“ ale... po swojemu. Tak zwane „niższe klasy“ stały się nawet przedmiotem szczególnej opieki wyższych, które tą troskliwością zdobią swoje programy polityczne i społeczne. W Anglii zarówno whigowie, jak torysi, we Francyi zarówno monarchiści, jak republikanie wszelkiego obrządku, w Niemczech zarówno konserwatyści i klerykałowie, jak narodowo-liberalni i postępowcy między pierwszymi artykułami swej partyjnej wiary stawiają dbałość o dobro plebsu, która stała się rodzajem przymusowej mody nowożytnego patrycyatu.

Toż samo dzieje się w Austryi, tam również każde stronnictwo przy każdej sposobności otwiera swe braterskie ramiona dla „młodszych braci.“ Gdybyśmy grupie Hohenwarta lub Kołu galicyjskiemu powiedzieli, że pragną zatrzymać prawa wyborcze w monopolu swych kast, oba te zastępy oburzyłyby się srodze. One w zasadzie chcą rozszerzenia tych praw na cały naród, ale nie wtedy i nie tak, jak żąda Paweł, Gaweł, Jan lub Konstanty... Kiedy i na co by się zgodziły, wyraźnie nie mówią i wogóle pragną, ażeby cała sprawa pozostała (dopóki można) w stadyum ich chcenia, które niczego nie narusza i do niczego nie zobowiązuje. „Jeżeli *my* nie panujemy — powiada najszczerszy z profesorów i socyologów austryackich—*nasze* państwo przestaje istnieć.“ Otóż prawie wszystkie stronnictwa polityczne monarchii Habsburskiej widzą, że po pomnożeniu o kilka milionów liczby wyborców, one przestają panować, czyli państwo przestaje istnieć. Wtedy dokonałby się zupełny przewrót, a chociażby ta zmiana objektywnie posiadała wartość kulturalną, dla obecnych mandataryuszów narodu byłaby zgubą. Dlatego wszystkie kluby, nie naruszając zasady (plac ich nie obchodzi, tylko budynek) projektu rządowego, oświadczyły się przeciwko obecnej jego postaci, a niewątpliwie zaprotestowałyby przeciwko każdej innej, zaprowadzającej głosowanie powszechne.

Uwagi powyższe nie są bynajmniej obroną polityczno-społecznej wartości pomysłu hr. Taaffego. Projekt jego jest rzeczywiście splotem dążeń radykalnych z wstecznemi i ma na swe usprawiedliwienie to tylko, że sfabrykowany został według powszechnie dziś stosowanej recepty, mającej wyleczyć choroby społeczne zapomocą mieszaniny ognia i wody. Coś podobnego odnajdziemy i w bismarkizmie niemieckim i w oportunizmie francuskim. Ale projekt posiada bezsprzecznie wartość środka klarującego męty i — jak mówi chemia — strącającego osady, zawieszone w roztworze austryackim. Krzyk „wielkich stronnictw“ przekonywa, jak daleko od ich serc leżała idea ciągle spoczywająca na językach — idea rozszerzenia praw wyborczych na żywioły dotąd z tego przywileju wyłączone. Telegramy z Wiednia, malujące zamęt i skargi, sprawiają wprost wrażenie komiczne. Każda partya klnie po cichu „na stronie,“ a deklamuje głośno do publiczności szumne frazesy; każda stara się szychami okryć swój egoizm, który wyłazi przez dziury; każda przytem wyrzuca Taaffemu, że zrobił tak ważny krok bez uprzedniego porozumienia się z klubami parlamentu. Pojmujemy i oceniamy należycie tę pretensyę: bo gdyby prezes ministrów wezwał był swych doradców i przedstawił im swój (czy też Steinbacha) projekt, zawołaliby chórem: na miłosierdzie boskie, nie wynoś hrabia tego na widok publiczny, bo my dłużej nie będziemy mogli *chcieć* pomnożenia wyborców i będziemy musieli ich pomnożyć.

Z takich to nici snuje się czasem wątek historyi! Dalsze jego przędziwo znajdziecie w poniższej korespondencyi.

Z AUSTRYI.

Kalejdoskop parlamentarny. — Oświadczenia trzech klubów. — Stronnictwo młodo-niemieckie. — Podróż hr. Taaffego i podróż Chlumeckego. — Tajemnicza komisya. — Koniec pierwszego aktu.

Polityka wewnętrzna Austryi stała się wreszcie zajmującą. Przestała ona być tem, czem była od lat wielu: grą towarzyską, którą zabawiało się kilka, a w najlepszym razie kilkanaście osób i przybrała formę poważnego dramatu historycznego.

Właśnie pierwszy akt tego dramatu zbliża się ku końcowi. Już w najbliższych dniach, a prawdopodobnie w tym jeszcze tygodniu, parlament zostanie rozwiązany. Wówczas to publiczność po spadnięciu zasłony będzie mogła rozpatrzeć spokojnie treść scen dotychczas widzianych. Dziś jeszcze za szybko migają przed oczami widza osoby i zdarzenia. W ciągu tygodnia ubiegłego położenie zmieniało się tak często, punkt ciężkości jego przesunął się tyle razy to w tę, to w ową stronę, że najbie-

glejsi politycy nie potrafią oznaczyć, gdzie punkt ów znajduje się w tej chwili.

Faktem górującym były oświadczenia trzech głównych klubów parlamentu w sprawie reformy wyborczej. Mimowoli każde ze stronnictw musiało w kilku dniach obrać stanowisko swe wobec tej kwestyi i zaznaczyć je choćby tylko ogólnikowo. Wątpliwemi mogły być tylko zamiary klubu Hohenwartowskiego i Koła polskiego; co do niemców, wiedziano od pierwszej chwili, że nie poświęcą dla idei liberalnej swych interesów burżuazyjnych i że sprobują zasłonić się przed ciosem prosto w piersi ich wymierzonym. Ku ogólnemu zdziwieniu oświadczenia wszystkich trzech stronnictw, ogłoszone równocześnie, wypadły w pewnym punkcie zgodnie. Wszystkie odrzuciły projekt rządowy. Pozorna ta jednogłośność mogła przez chwilę wywołać wrażenie, jakoby położenie gabinetu było zachwianem a los projektu rządowego z góry rozstrzygniętym. Złudzenie to musiało jednak ustąpić, gdy przypatrzono się bliżej treści pojedynczych oświadczeń. Konkluzya w nich ta sama, lecz założenia zupełnie różne, a w istocie pod formą podobną kryją się tu zamiary jak najbardziej sprzeczne.

Najostrzej wypadła, jak łatwem było do przewidzenia, deklaracya liberałów niemieckich. Wyrażają oni hr. Taaffemu „oburzenie z powodu postępowania rządu, który przed kilku miesiącami zaręczał w swoim programie, że powstrzyma wszelkie zmiany w narodowym stanie posiadania (? *Red.*), a obecnie podejmuje reformę, przekształcającą wszelkie stosunki narodowe.“ Obok tego lewica zaznacza, że jest gotową przedewszystkiem klasie robotniczej stworzyć natychmiastową reprezentacyę i współdziałać zasadniczo w powszechnej reformie wyborczej, któraby wszakże przy odpowiedniem rozszerzeniu liczby deputowanych przedstawiała zarazem dostateczne rękojmie dla interesów mieszczaństwa.

Stanowczość tonu może tylko śmieszyć wszystkich, którzy wiedzą, że po za nią kryje się bezradność i zupełne zwątpienie o sobie. Nie potrafią też złudzić nikogo zapewnienia prasy wiedeńskiej, że klub lewicy przyjął powyższą uchwałę jednomyślnie. Ile prawdy leży w takich twierdzeniach, widać stąd, iż w tym samym dniu, w którym oświadczenie to zostało ogłoszone, wedle pogłoski krążącej po Wiedniu, miało się odbyć zgromadzenie kilku wybitniejszych członków stronnictwa Plenerowskiego i różnych osobistości poważniejszych z pośród mieszczaństwa wiedeńskiego, mające na celu ukonstytuowanie nowego stronnictwa „młodo-niemieckiego,“ któreby w imię zasad liberalnych oparło się prądowi burżuazyjnemu wśód partyi niemieckiej, a projektowi rządowemu przeciwstawiło żądanie ogólnego i powszechnego głosowania. Lada dzień stronnictwo Plenera rozpryśnie się na kilka drobniejszych odłamów, a niebezpieczeństwo to groziło już przy dyskusyi nad oświadczeniem powyższem, która wbrew twierdzeniom prasy była nader burzliwą. Co się tyczy samej treści deklaracyi, to jeśli przetłomaczymy ją na język zrozumiały a z frazesów wyciągniemy sens konkretny, otrzymamy z jednej strony znany już wniosek Bärnreithera, proponujący utworzenie Izb robotniczych i nadanie im dwudziestu mandatów poselskich, z drugiej — nową myśl, widoczną dotychczas zaledwie w mglistych zarysach, a zmierzającą do utworzenia odrębnej kuryi wyborczej dla wszystkich nowych wyborców, którym projekt rządowy chce udzielić prawa głosowania.

Zupełnie odmienną jest dążność, uwidoczniona w oświadczeniu Koła polskiego: nie wyklucza ono zasadniczo myśli rozszerzenia prawa wyborczego, lecz domaga się skierowania jej na drogę autonomiczną. Innemi słowy: Koło stawia jako warunek przeprowadzenia reformy przywrócenie pośrednich wyborów do Rady państwa, wybór delegacyi galicyjskiej przez sejm krajowy w sposób, w jaki odbywał się on przed r. 1873.

Z oświadczenia tego widzimy, że właściciele wielkiej posiadłości, zasiadający w Kole polskiem, nie łudzą się bynajmniej co do następstw reformy, lecz przewidują jasno, że prąd przez nią wywołany uderzy prędzej lub później z całą siłą w przywileje kuryi feodalnej i handlowej. Aby zapobiedz z góry temu niebezpieczeństwu, chcieliby dziś już zamknąć się w zamku warownym autonomii krajowej. Tego samego rodzaju są też względy, którymi kierowali się feodałowie czescy, a wskutek tego między deklaracyą klubu Hohenwartowskiego a deklaracyą Koła zachodzi wyraźne pokrewieństwo zarówno co do treści, jak co do formy.

Oba oświadczenia, chociaż przy końcu odrzucają projekt rządowy, dają wyraźnie do poznania, że stronnictwa, od których wyszły, gotowe są porozumieć się co do warunków ugody.

Z chwilą, gdy możliwość układów zarysowała się na widnokręgu, hr. Taaffe był ocalonym.

W dniu ogłoszenia oświadczeń trzech klubów nie znajdował się w Wiedniu, lecz w Budapeszcie, gdzie bawi obecnie cesarz Franciszek Józef. Cel podróży tej, aczkolwiek ukrywany w tajemnicy, musiał być jasnym dla każdego. Nie znając i nie mogąc przewidzieć formy, jaką nadadzą stronnictwa konserwatywne swym oświadczeniom, hr. Taaffe musiał być przygotowanym na przesilenie gabinetowe. Rozmiary przesilenia takiego przy panującym obecnie zamęcie byłyby nieobliczalne. Mogłoby ono pociągnąć za sobą upadek całego gabinetu lub też tylko dymisyę dwóch jego członków: ministra Steinbacha, jako właściwego autora projektu reformy wyborczej i ministra Zaleskiego. Dlaczego właściwie minister Galicyi musiałby ustąpić w tym wypadku, tego nikt wytłomaczyć nie potrafi. Lecz wiadomą jest przecie rzeczą, że psychologia przesileń gabinetowych ma odrębne swe, niezbadane przez nikogo prawa, a ponieważ wszystkim ustąpienie Zaleskiego przez chwilę wydawało się koniecznem, padłby on niezawodnie pierwszy ofiarą w razie niepomyślnego dla rządu obrotu rzeczy.

Oświadczenie Koła polskiego i Hohenwartowców, chociaż skierowane przeciw projektowi rządowemu, usunęło odrazu potrzebę zmian w składzie gabinetu. To też hr. Taaffe w kilka godzin później wyparł się w rozmowie z pewnym posłem węgierskim zamiaru ustąpienia i zaprzeczył istnienia przesilenia gabinetowego. Natomiast zaznaczył w ciągu tej rozmowy, że gotów jest wejść w sprawie reformy wyborczej w układy z pojedyńczemi stronnictwami.

W jednej chwili więc punkt ciężkości położenia przeniósł się od kwestyi reformy wyborczej do — sprawy stanu wyjątkowego praskiego. Dowodem tego drugi fakt równoczesny. Wspólnie z hr. Taaffem bawił w Peszcie prezes Izby posłów a członek lewicy Chlumecky, wysłany przez swych stronników do cesarza dla wywarcia nacisku na postanowienie monarchy w chwili rozstrzygającej. Miał on złożyć urząd swój przewodniczącego, a zaostrzając tym sposobem położenie, przyczynić się do ustąpienia hr. Taaffego. Zamach ten nie powiódł się, gdyż wobec zmienionej sytuacyi Chlumecky został zbyty ogólni-

---

2)

SZARA CHWILA.

Napisał

Zygmunt Pietkiewicz.

(Dokończenie).

Drży cisza i psuje się. Jakiś poswark daleki! Dobra, wytęskniona fala mętnych i głuchych głosów odrywa się zdaleka i sunie, płynie, stąpa powietrzem, ziemią, oblega ciszę, zdobywa ją coraz — zaraz nadejdzie i pocieszy. W niej i na niej siedzą i leżą, upowite srebrzysto-mglistą oponą księżyca postacie osób dawno byłych i obecnych — drogich, kochanych, mniej i więcej przyjaznych. Serca biją głośno — duch zamiera... Gdzieś na wsi pies czujny kilka razy szczeknął ospale — i milczy.

„Jadą!“

Wierne czaty wsi budzą się. Pies znowu szczeka, ale popędliwiej, do wtóru wstaje inny — cała ich orkiestra szczeka. Szczekają zawzięcie, bez ładu, każdy po swojemu — napastując kogoś. Inne zmęczone, gdzieś na skraju wsi, cichną— wracają do barłogu. Ujadają tylko trzy, ale bez pamięci — stąd widać pianę na pyskach. Ktoś je smaga w przelocie — skomlą czasami... Tak szczekać namiętnie, aż do zachłyśnięcia, można tylko na człowieka, nie na wilka. Na wilka szczeka się inaczej — uparcie, równo, z taktem, niedaleko budy... Chwilami wrzawę psów przemaga już turkot kół. Słuchają z natężeniem: turkot przerwał hałas psów i prowadzi go za sobą. Kapela psia oddala się i milknie, turkot coraz się zbliża... Koń parska już, uprząż brzęczy... „Jadą!“ Jadą kochani, utęsknieni, oderwawszy się od całego tłumu osób przyjaznych, które płynęły przed chwilą na fali bezimiennej, osrebrzone księżycem i zostały gdzieś za lasem. „Jadą“ — już pies szczeknął lekceważąco koło Charewiczów, szczeknął, a teraz skoczył do chrap konia i ujada... Czuć nie gniew, lecz radość w psa głosie. Wita znajomych, skacze do kałamaszki, mknącej przez dwór — pląsa przed nią i skomli. Zadudniało tuż za oknem i umilkło — koń się wstrząsa z dreszczu.

— Przyjechali!..

— Stukają do drzwi!..

— Idź, Bolku, otwórz! Prędzej!.. A ja samowar nastawię...

Nogi i ręce jej drżą, a w sercu taka radość, że omało z piersi nie wyskoczy.

Tłum obrazów malowanych tęczą wiruje w znękanej duszy, jedne od drugich ponętniejsze. Mienią się, migocą... Będą nareszcie mieli herbatę swoją— tak długo musieli pożyczać — a do herbaty i wędlinę, i jaja — o, zaraz je ugotuje, nie czekając, niech się posilą — i obwarzanki... Ach! jaka to doskonała rzecz—obwarzanki, szczególnie te kruche na żółtku, rumiane. Aż język kąpie się w ślinie... Widzi to wszystko na stole wyłożone. Cóż więcej przywieźli? Ot, biedna głowa nie połapie się już... Stara, to się i mąci! Ser jeszcze?.. Aha — i ser... taki wysuszony, z kminem... To będą jedli!.. Za wszystkie czasy... Wołowina także przyjechała — ma się rozumieć! To dopiero sprawią sobie gody! Jutro udusi pieczeń z kartoflami. Nie, może kołduny lepiej — jeżeli mięso łoiste. O, co widzi!.. I ubrania nawieźli! A sporo tego być musi... Rozpakowywa węzełek i liczy: jeden garnitur marynarkowy, popielaty... Nieźle jeszcze wygląda... Przerobi go — to będzie dla Bolka... Drugi garnitur tabaczkowy... także prawie nie noszony — to będzie dla Wicusia... Potem idą: jedne spodnie, drugie... co?.. Aż cztery pary!.. Ależ bogaci teraz, no, no!.. I kurta bajowa!.. Ta akurat na zimę dla starego. Wytarta trochę, ale jeszcze ujdzie... I dla niej biednej jest co na kark włożyć!.. Aż trzy suknie! Nie — cztery!.. A jakież to porządne... Ta szamo-

kowemi przyrzeczeniami i odstąpił sam od zamiaru podania się do dymisyi, widząc daremność tego kroku.

Prezes Izby i prezes gabinetu wrócili równocześnie do Wiednia, pierwszy z nich z dokładną świadomością, że partya jest ostatecznie przegraną dla jego stronnictwa, drugi z upoważnieniem cesarskiem, na mocy którego rozwiąże parlament w razie, gdyby tenże nie chciał zatwierdzić stanu wyjątkowego w Pradze. Że przyjdzie do tego, zdaje się pewnem w tej chwili. Lewica bowiem, widząc beznadziejność swego położenia, postanowiła już teraz przejść do opozycyi i objawiła stanowczo zamiar głosowania przeciw rozporządzeniom wyjątkowym. Wprawdzie ministrowie zapewniają wszystkich, że liczą na to, iż motywa rozporządzeń, które przedstawią komisyi odnośnej, zmuszą wszystkie stronnictwa bez wyjątku do głosowania za stanem wyjątkowym. Motywa te kryje rząd dotychczas przed szerszą publicznością, gdyż są one szeregiem nader jaskrawych faktów, z których każdy nosi cechę obrazy majestatu, a pochwycone przez prasę europejską uczyniłyby ujmę powadze monarchii. Trudno jednak przypuszczać, że uda się rządowi argumentami rzeczowymi odwieść stronników Plenera od zamiaru powziętego z góry a polegającego na pobudkach osobistych. Byłoby to przynajmniej sprzeczne z wszelkiemi doświadczeniami życia parlamentarnego. To też sądząc ze składu wybranej już przez Izbę komisyi, rozporządzenie o stanie wyjątkowym nie wejdzie nawet przed ogół parlamentu, lecz zostanie odrzuconem w komisyi samej zjednoczonymi głosami lewicy, młodoczechów, narodowców niemieckich, czechów morawskich i dwóch członków klubu Hohenwartowskiego.

Bezpośrednim skutkiem takiej uchwały byłoby rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów, które odbywałyby się pod hasłem reformy wyborczej. Czy nowo wybrany parlament zawerbowałby więcej zwolenników projektu rządowego, niż obecny, jest dość wątpliwem. W każdym razie największy głaz, zagradzający drogę do reform w kierunku społecznym, niemieckie stronnictwo burżuazyjne, zostałoby w tych wyborach strzaskano. Koniec pierwszego aktu w dramacie, odgrywającym się obecnie na widowni parlamentu austryackiego, zapowiada więc korzystne dla monarchii rozwiązanie sztuki.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Oto wiązka ostatnich doniesień o pobycie członków eskardy ruskiej w Paryżu:

Urządzono dla nich osobne widowisko galowe w Wielkiej Operze. Po przybyciu do loży prezydenta wiceadmirała Avellana orkiestra zagrała ruski hymn narodowy, odśpiewany jednocześnie przez chór w kostiumach z czasów Iwana Groźnego, śród gorących oklasków publiczności. Po przybyciu Carnota — zabrzmiała Marsylianka, którą również, oficerowie ruscy, powstawszy z miejsc oklaskiwali przy okrzykach: „Niech żyje Francya.“ W samem przedstawieniu szczególne wrażenie sprawiła scena baletowa, w której marynarze francuscy podają ręce ruskim. Za kulisami rozległ się wystrzał, poczem wysunięty został posąg, wyobrażający pokój z różczką oliwną w dłoni. Upojeni temi owacyami goście odjechali do Lugdunu, gdzie im złożono hołdy.

Dzienniki paryskie — jak donosi telegram środowy — przyznają jednomyślnie, że rząd ruski posiadał zawsze charakter czarujący i odznaczał się niezrównaną wspaniałomyślnością, Paryż zaś w przyjęciu gości okazał wiele taktu.

Pogrzeb Mac Mahona, wyprawiony mu kosztem państwa, musiał odbić w sobie obecny nastrój chwili, która mu dodała wystawności! Przyczyniły się do tego również objawy czci i sympatyi dworów zagranicznych dla zmarłego. Nawet cesarz niemiecki przesłał wdowie wyrazy swego ubolewania i polecił na trumnie złożyć wieniec. Poselstwo też niemieckie przyjęło udział w obchodzie pogrzebowym. Tego kroku nie oczekiwano ze strony zwycięzców sedańskich.

W Dreźnie, śród licznego zjazdu głów koronowanych i dostojników niemieckich oraz przedstawicieli państw europejskich odbył się 50-letni jubileusz służby wojskowej króla saskiego. Naturalnie uczestniczył w tym obchodzie także Wilhelm II, który ze szczególnym zapałem odznaczał jubilata w mowach i darach. Jakkolwiek król saski odegrał bardzo ważną rolę w wojnie francusko-pruskiej, nie podnoszono tych jego zasług ostentacyjnie i unikano wszelkich wystąpień drażniących.

Wojna hiszpanów z kabylami już się rozpoczęła. Wysłany pod Melillę pancernik rozproszył nieprzyjaciół, którzy jednakże podobno gromadzą się i gotują do zaciętej walki.

Dziwne odkrycie zrobił ktoś, mający pretensyę do znajomości stosunków w Brazylii: amerykański *New-York Herald* miał jakoby systematycznie fałszować wiadomości z pola walki na rzecz admirała de Mello a niekorzyść Peixota, który wcale nie ma się znajdować w tak rozpaczliwem położeniu, jak donoszono a jego przeciwnik nie osaczył go w Rio de Janeiro tak dzielnie, jak opisywano. Według tego sprostowania, Peixot wkrótce spodziewa się stłumić rokosz. Już teraz całkiem nie wiadomo, co się dzieje w Brazylii.

Przezydent Stanów Zjednoczonych trwa dalej w oporze i odrzuca wszystkie propozycye zgody w sprawie billu Shermana. Żądano od niego już tylko, ażeby przystał na zakup srebra przez państwo w roku następnym i na wybicie monety z dotychczasowych zapasów kruszcu — i te warunki odrzucił. Senat więc dalej obraduje a raczej targuje się z prezydentem, którego wszystkie boleści i błagania „królów srebrnych“ wzruszyć nie mogą. Wyjątkowy okaz silnego charakteru!

BADANIA NAUKOWE.

NATURA I SIŁA.

II.

Chociaż ze stanowiska *ogólno-ewolucyjnego* musieliśmy wystąpić przeciw tej, że tak nazwiemy, *naturotropii* (która przybiera różne formy a między innemi formę chłopomanii), to jednak z *obecnego* stadyum rozwojowego musimy przyznać, że tęsknocie do przyrody, obok maniaków i zacofańców rzuconych w wir cywilizacyi, podlegają nieraz, jak to już wspomnieliśmy, właśnie ludzie najwyżej uorganizowani duchowo, albowiem oni właśnie w obecnej, śród nienormalnych warunków toczonej, walce o byt zużywają się najbardziej (podczas gdy filistrzy zadowoleni prosperują); są to właśnie

---

wa najładniejsza, pysznie leży!.. Ta będzie do kościoła... Ta druga, roksykowa, nie znać, że była noszona... Ta będzie od parady!.. I mantylka i salopa!!.. Mój Boże, co za szczęście!.. Niepamiętne czasy, kiedy je miała... I bielizna!.. A, Jezu Ty najsłodszy! Tyle jest tego!.. Dziesięć par koszul mężkich i cztery damskie... O, nareszcie... nareszcie nie będzie świadkiem łowów Bolka na robactwo przebrzydłe... Rąbki jego podartej i zasmolonej bielizny, zawsze pełne „baranków egipskich,“ nie będą już jej trapić tak niemiłosiernie, ani też pojawią się więcej ich zmiażdżone zwłoki na poręczach jego łóżka...

W obrazach tych, olśniewających jej duszę, jak błyskawica, gubi się biedna przytomność. Chce nastawić samowar i nie może go dosięgnąć — ręce błądzą śród naczyń kuchennych i przynoszą jej to rądel, to patelnię, to rynkę, pytają: „to, czy nie to?“ Zanim zmiarkuje omyłkę, chwyta je i obchodzi się z niemi, jak z samowarem; poznawszy — odrzuca i mówi: „ależ nie to! ot, głupie ręce...“

Stoi przed kominkiem, a samowar nastawiony — obok. Składa do modlitwy dziękczynnej ręce i załzawiona szepcze: „Chwała Ci, Panie, na wysokościach!..“

No? Czemuż nie wchodzą i nie znoszą tego, co przywieźli ze sobą? Drzwi się otwierają od sieni... „Bolek? sam?“

— A ojciec? a Wicuś? Czemuż nie idą się ogrzać?.. Idźże, pomóż im konia wyprządz! Jaki ty nie dobry.

— At, komu mam pomagać... Zdało się.

— Jakto? Nie ma?

— Ani słychać, ani widać!

— Może przed stajnię zajechali? Idź, biegnij, zobacz! Jaki ty nie roztropny.

— Et, zdało się mamie. Byłem wszędzie — *nikogótko!*

— A któż to zajechał i stukał we drzwi?

— Świnie Charewiczów, bodaj je wilki zjadły!.. Wyparły się z chlewa i „łycem“ drzwi nasze ryły... Ależ im dałem... Popamiętają bestye!

* * *

Smutno i cicho syn z matką zajmują łóżka na nocny spoczynek — on w jednym, ona w drugim pokoju, za lekkiem z desek przepierzeniem. Zegar tyka, w kominku na kupie żaru leży grube polano dębowe i w płomykach bengalskich — tleje... Kominek mruga łuną różową. Z kątów naprzeciw niej idą mroki — w mrokach stoją nieme, w licznych przeprowadzkach i długiej wiernej służbie sterane sprzęty. Czasem ten lub ów zatrzeszczy, pęknie... Świerszcz strzyka, w komodzie-staruszce kołatek chrzęści — świdruje ją uparcie — w pustej szafie myszy coś toczą... Na dworze noc jasna, księżyc zagląda w szyby zielonawe i ponad łóżkiem Bolka, na ścianie, odbija białe, kraciaste widmo okna. Bolek wszystko to widzi i słyszy, bo sen od niego stroni. U matki cicho, ale on wie, że ona nie śpi, bo ziewa i wzdycha.

— Bolek!

— Co, mamo?

— Ty nie śpisz?

— Nie, mamo. Nie mogę zasnąć.

— I ja nie mogę... Wybiłam się ze snu...

I milczą. Pies szczeknął... Nic to ich teraz nie porusza. Ot, pewno na wilka albo złodzieja szczeka...

— Czego ty tak się rzucasz niespokojnie? — pyta matka.

— Coś mnie gryzie...

Przypomina sobie brudną, zaniedbaną pościel syna i, ciężko wzdychając, skarży się przed Bogiem i Jezusem Nazareńskim.

— Mamo!

— Co, dziecko?

— Mama jeszcze nie śpi... Wie mama, co mi się śniło wczorajszej nocy?

— No, cóż takiego?

— Śniły mi się... „baranki egipskie...“

— Doprawdy?.. To znaczy, że będziemy mieli pieniądze!.. A biłeś je?

— Biłem.

— To dobry znak... O, napewne ktoś pieniądze przyśle.

wyżej wspomniani „siłacze,“ którzy zmuszeni są dźwigać gwichty zbyt wielkie i dla tego podźwigują się mimo swych sił niezwykłych. I rzeczywiście któż z dzisiejszych wyższych duchów, stojących na wyłomie, wiodących bezustanne a beznadziejne (dla siebie samych przynajmniej) zapasy nie doświadczał, przynajmniej w pewnych cięższych chwilach walki, tej tęknoty? Kto nie pragnął wtedy „w ciszy wiejskiej zagrody zapomnieć, że są na świecie narody,“ kto nie powtarzał „dość, dość żyłem nie sobie“ ...ha tam chyba odżyję, gdzie powietrza, gdzie stepów do woli,“ kto nie zazdrościł indyaninowi, przebiegającemu swobodnie dziewicze lasy Nowego Świata, kto nie zazdrościł wolnemu synowi pustyni jego wyścigów z wichrami, horyzontu bez końca, nieba bezchmurnego, nocy iskrzących się gwiazdami jaśniej, żywiej niż u nas... Jakkolwiek oni uczuć nam podobnych nie doświadczają: uczuć takich względem takich obrazów przyrody może doświadczać ten tylko „kto je utracił.“ Najlepszą zresztą illustracyą, że najwyżej uorganizowane jednostki podlegają właśnie tej tęsknocie do przyrody, jest sam naukowy inicyator idei powrotu do przyrody, Rousseau, jak również analogiczny z nim dzisiejszy filozof Nietzsche: gruntem u obu jest wyczerpanie się cywilizacyi, a czy ono objawi się w formie tęsknoty do spokoju na łonie natury, czy w formie tęsknoty do pierwotnych instynktów, startych przez cywilizacyę, to jest to już tylko kwestya temperamentu danego osobnika. Objawy takie antycywilizacyjne u duchów potężnych, które wdarły się aż na szczyty cywilizacyi, przypominają tego wodza, który forsownym marszem dążył w bój i wszystkie swe pułki wprowadził odrazu w ogień; zdobył najwyższe pozycye, lecz już nie miał siły do ich utrzymania; musiał się cofnąć, wyrzekając się wszystkich korzyści zwycięztwa.

W tem, że właśnie najwyżej uorganizowane jednostki podlegają dziś często (chociażby chwilowo) tej tęsknocie do natury, leży po części przyczyna złudzenia, że ta tęsknota jest jednoznaczna z „uczuciami szlachetnemi“; a zresztą człowiek tęskniący do przyrody jest już inwalidem (chociażby chwilowym), ustępuje z placu, nikomu nie przeszkadza w wiecznych wyścigach: zyskuje on przez to naszą sympatyę, nazywamy go „szlachetnym“, jak lucus a non lucendo, gdyż jest on właśnie niezdolny do walki (Schlacht).

Gdy wreszcie rzucimy okiem w *daleką przyszłość to znajdziemy jeszcze jeden argument przeciwko powrotowi do natury.* Ludzkość dożyje bowiem chwili, gdy powrót do natury byłby nietylko bezużyteczny lecz *absolutnie* niemożebny, a to z tego prostego powodu, że nie będzie już do czego powracać: „natura“ w tem znaczeniu, o jakiem mówimy, zniknie; krajobrazowa rozmaitość otoczenia będzie jedynie objawem działalności człowieka. Gdy na „dziewicze“ dziś jeszcze szczyty gór, lśniące w promieniach słońca srebrną oponą śniegów, pobiegną szyny kolei; gdy rzeki, wijące się malowniczo śród zielonego kobierca łąk, staną się prostemi jak sznur kanałami, ujętemi w tamy; gdy dziko-wspaniałe nieokiełznane dziś wodospady staną się fabrykami elektryczności; gdy niezmierzony ocean zostanie pokryty pływającemi miastami; gdy orkany będą pracować dla człowieka; gdy groźne dziś kuźnie Hefaista staną się kuźniami zwykłemi; gdy nawet widok nieba gwiaździstego zaćmiewać będą liczne statki lub nawet miasta powietrzne; gdy szumiące bory, śród których można „upolować tyle dumań“ zniknął, ustępując miejsca intensywnej kulturze itd. itd. cóż wtedy z dzisiejszej „natury“ zostanie? Wtedy „natura,“ a właściwie otoczenie, będzie jedynie wyrazem wszystko łamiącego rozumu ludzkiego, nieugiętej woli ludzkiej, niezmierzonych nieskończonych pragnień ludzkich!

Tak więc okazaliśmy, jak się zdaje, że

1) Powrót do natury jest szkodliwy lub przynajmniej bezużyteczny z powodu walki o byt.

2) Jest objawem znużenia i nie może być ani społeczno-filozoficznym, ani uczuciowo-etycznym ideałem ludzkości, która dąży coraz dalej i wyżej.

3) W przyszłości ludzkość nie będzie miała nawet do czego wracać bo „natura“ zniknie.

Tęsknotę do przyrody możemy więc uznać obecnie nie jako ideał, cel ostateczny, lecz tylko jako potrzebę *chwilowego odpoczynku*; odpoczynku na to, by tem skuteczniej podjąć dalszą walkę na drodze *oddalania się od przyrody.* Rzeczywiście mamy przykłady, że jednostki dzielniejsze, gdy, wyczerpane walką, usuną się w tę przyrodniczą nirwanę, by raz przecież zaznać spokoju, to po krótkim czasie krew znów w nich grać zaczyna, pragną powrócić znów do życia intensywnego, życia cywilizacyi, do ruchu, do walki—jak ów dzielny żołnierz, którego rany wtrąciły do szpitala: zaledwie rany zabliźniać się zaczną, już wyrywa się do szeregów na pole walki.

W objawach tych widać to, co ze stanowiska ewolucyjnego można twierdzić a priori i cośmy już nadmienili, mianowicie, że *ideałem ludzkości nie jest natura, nie żywot rajski na jej łonie, nie odpoczynek wieczny, nie nirwana, lecz siła!* Nie darmo już dawniej wybrane jednostki rozumiały, że „Bóg jest przyjacielem silnych“, a dziś wszyscy ludzie coraz bardziej dochodzą do przekonania, że zakon należy nieco zmodyfikować: „starajcie się tylko o siłę, a wszystko inne będzie wam przydane.“ Kto, dzięki pracy własnej i pracy przodków, nagromadził w sobie największy zapas sił, kto potrafi je najdłużej wytężać, do najwyższego stopnia napiąć, kto potrafi je skoncentrować błyskawicznie na jeden punkt, by jak wódz genialny olbrzymią przewagą i szaloną furyą zdruzgotać przeszkody tamujące ruch naprzód, w górę do celu, ten jest tryumfatorem!

Ta dążność ludzkości naprzód coraz wyżej i wyżej, jako wynikająca z odwiecznego prawa ewolucyi, ma w sobie coś żywiołowego, co nie opuszcza jednostek dzielniejszych nawet w chwilach największego niebezpieczeństwa, nawet w chwili śmierci. „Naprzód, naprzód,“ wołał Alonzo Pinzon, wódz kolumbowej karaweli, gdy przed nim rozpościerał się ocean bez końca, pod nim tajemne jego głębie, dokoła brzmiało groźne szemranie załogi-filistrów. „Naprzód dzieci, naprzód,“ wołał ugodzony śmiertelnie powien wódz szturmowej kolumny, „umrę szczęśliwy, widząc was na szczycie tych skał.“

Cząc siłę jako najwyższy ideał ludzkości, nie jesteśmy przez to bynajmniej bezkrytycznymi wyznawcami nietzscheanizmu; *cząc siłę bowiem nie koniecznie trzeba widzieć jedyny jej wyraz w instynktach pierwotnych, a jedyną jej miarę w powodzeniu.* Dla wyjaśnienia tej różnicy musimy przedewszystkiem rozróżnić dwojaką ocenę człowieka: *absolutno-dynamiczną* (*biologiczną*) i *względnie dynamiczną* (*społeczną*). Zasadniczą wartością człowieka jest jego siła absolutna, realną zaś wartością jest forma objawienia się tej siły, to jest stosunek tego objawienia do potrzeb społecznych. Pierwsza siła, którą, teoretycznie rzecz biorąc, można wyrazić przez pewną ilość kilogrammetrów lub koni parowych (mechaniczny rownoważnik człowieka),

---

Ale któżby to mógł być tym dobroczyńcą? Może pryncypał ich dawny, tknięty sumieniem, zwróci im to, czego nie dopłacił? Może brat albo która z sióstr — siostra Teresa — widując ją we snach, tak jak na jawie, biedną, ostatnią nędzarką—przyślą swojej „Kamilce“ na suknię, a jej dzieciom na koszule...

„Pewno ojciec — myśli Bolek, drzemiąc. Dostał „obowiązek“ — posadę — i wiezie pieniądze na przeprowadzkę... Co to? Łąka jakaś śliczna, zielona lśni się w słońcu... Skądże ona, kiedy to pokój?.. Przez tę łąkę jedzie — tatuś... „To nie on!“ — ktoś woła. Ba, zawracanie głowy! Przecież kalamaszka nasza i koń myszaty nasz... Jedzie i znika za wzgórkiem... No, i niema — nie widać! Na psa taka jazda! do zmierzchu nie dojedzie, a tam grobla niebezpieczna, długa... rzeka z mostem zepsutym — można się pod koła młyńskie dostać... Trzeba to ojcu powiedzieć z dachu obory... Jak doskonale stąd widać i łąkę i kalamaszkę — koń truchtem bieży, tatuś mówi: „wiowio!..“ Lejc puścił i fajkę nabija. Nie dojedzie przed nocą!.. A nie dojedzie — powtarza Wicuś, uśmiechając się smutnie. Bóg wie, skąd tu się wziął... Pyta Wicusia, czemu? a tu — paf! Kamień uderza go w szczękę... Co za niegodziwy chłopiec ten Józik Charewicz!.. To za świnie rodziców. Trzeba zobaczyć, czy zębów nie nadwyrężył. „Widzisz, Wicuś? Nie wybił żadnego, tylko jeden się kiwa!“ „Wbijże go mocno wbij, Bolku! — przestrzega Wicuś — bo spadniemy z dachu prosto na głowę tatusiowi...“ „Nic nie pomaga — kiwa się jeszcze mocniej!..“ „No, to spadamy już!“

— Co tobie, Bolku? Czego tak rzuciłeś się na łóżku? — pyta trwożnie matka.

Pierzchają obrazy snu, na pułapie gdzieś tańczy z jasnem oknem kominek ciemniejący... Aha, to pokój nie obora — to stare wierne meble, nie bodzące krowy i woły, na które przed chwilą leciał z dachu głową na dół...

— Nic, mamo! — odpowiada, ziewając. Śniło mi się, że spadam, więc przez sen drgnąłem.

— A ja zasnąć nie mogę... Te myszy dokazują... Myśli straszne w głowie... Jeszcze te graty stare ciągle trzeszczą, „łuskają!..“ O, słyszysz? Znowu w stole łusnęło. Boże mój, Boże!

— Czy to, mamo, źle, kiedy się śni, że ząb się kiwa?

— Tobie to się śniło?!

W okrzyku matki tyle przerażenia, że aż mu ciarki po skórze idą. Oto zerwała się biedna i siedzi drżąca w bieli na łóżku.

— Jezus, Marya! To bardzo źle!

— Czemu, mamo?

— Ach, odwróć, Panie na wysokościach! To znaczy, że kogoś bardzo bliskiego nam choroba — na łóżko zwaliła... Że, widać, śmierć — w Imię Ojca i Ducha — nad głową mu krąży... Tfu! zgiń, przepadnij, maro!

— Tfu! zgiń, przepadaj, maro! — powtarza syn za matką, a włosy rosną i skóra cierpnie.

— Sen — mara!.. Bóg — wiara!..

— Sen — mara!.. Bóg — wiara!..

— Przeżegnaj się, Bolku!.. Zamruż oczy, zatknij uszy i — śpijmy!

Myśl ich ze zgrozą i wstrętem cofnęła się przed ostatniem, najboleśniejszem słowem domysłu!

I długo jeszcze w noc nieszczęśliwą kobieta odganiała utrapiony, złowrogi obraz „zęba wypadającego“ we śnie. Słysząc głęboki i równy oddech syna, zdjęła ze ściany krzyż i, ucałowawszy „mękę pańską,“ przeżegnała nim w powietrzu głowę dziecka rodzonego.

III.

Bolek siedzi rano na przyźbie w ogródku, a wyblakłe słońce jesienne spogląda mu zezem w twarz i mówi: „grzeję ciebie, biedaku!“ Przymyka powieki i widzi pęczek promieni złotych, uciekających z pod rzęs ku tarczy złotej. Na georginiach i astrach drżą i mienią się tęczą krople rosy, trzmiel włochaty porusza się leniwie

posiada wartość stałą; wartość drugiej zmienia się stosownie do zmiany stosunków społecznych; pierwsza jest ważniejsza z ogólnego stanowiska ewolucyi wiekowej, druga — ze stanowiska danej chwili lub danej fazy rozwoju. Zważywszy jednak, że siła ludzka, jak każda siła, ulega *transmisyi*, że może być *zwrócona* w pożądanym dla danej chwili kierunku, objawić się w *pożądanej formie*, przyjdziemy do przekonania, że w ocenie człowieka jego siła absolutna powinna mieć pierwszorzędne znaczenie, a możliwe spotęgowanie tej siły (obok możliwego ułatwienia transmisyi) musi być ideałem tak pojedyńczego człowieka jakoteż całej ludzkości. (Pierwotne więc instynkty mogą zasługiwać na cześć jedynie jako wielka siła absolutna, ale nie jako jej forma przejawienia).

Podobnie gdy inżenierowie oceniają potoki jako motory, to na pierwszem miejscu stawiają potok, mający najsilniejszy pęd, jakkolwiek wartość jego może być w danej chwili dla danego kraju niszcząca, wiedzą bowiem, że ta sama siła, która dziś jest zniszczeniem, skierowana właściwie, a umiejętnie, stanie się źródłem bogactwa kraju, błogosławieństwem społeczeństwa; podczas gdy potok, sączący leniwie swe skąpe wody śród niziny, nie sprowadza wprawdzie zniszczeń (zresztą za to zabagnieniem wywiera zwykle wpływ trujący), ale też nie da się zużytkować korzystnie, albowiem siła da się skierować, lecz nie da się stworzyć.

Dzięki transmisyi, siła popędów pierwotnych, pragnień egoistycznych powstrzymana w swym wylewie pewnemi tamami, skierowana w pewne łożysko, przetwarza się w dodatnią siłę społeczną. Dzięki tej transmisyi, np. dzieci wszystko ruszające i psujące, uparte, zacięte stają się często w wieku dojrzałym dzielnymi członkami społeczeństwa, chlubą ludzkości. Ta sama siła objawiła się w Kolumbie naprzód jako w zuchwałym rozbójniku morskim, później jako w wytrwałym odkrywcy; zarzucają mu tuzinkowi moraliści, że miał żądzę złota, podobnie jak Stanleyowi, że miał żądzę kości słoniowej. Naiwni! nie wiedzą, że ta żądza stała się właśnie pobudką odkrycia „Nowego świata“ oraz rozjaśnienia pomroki, kryjącej wnętrze „tajemniczego kontynentu.“

Transmisya sił odbywa się bądź pod wpływem okoliczności życiowych, bądź jest prowadzona systematycznie przez hodowlę społeczną (system „otamowań“). I tak np. wiadomo, że gdy społeczeństwo chce mieć dajmy na to słoninę, to bierze wieprza, zamyka go, tamuje swobodę jego ruchu, okalecza go i powstrzymuje w ten sposób zużycie siły w celach osobnikowych, zamienia je na cel korzystny dla siebie, na wytwór słoniny. W podobny sposób postępuje i z osobnikami ludzkimi: chce mieć np. nauki, wynalazki, sztuki ulepszenia techniczne itd., bierze w tym celu człowieka i od dzieciństwa wychowaniem opanowywa jego siłę życiową: zmuszając go do pracy siedzeniowej, do wytężania umysłu, traktując odpowiednimi morałami, przykładami poświęceń, sławy itp.; tym sposobem nadaje ono życiowemu potokowi osobnika pewne tamy, pewien spadek i pewien kierunek, aby namlił jaknajwięcej mąki społecznej. U jednostek przeciętnych, sił mniejszych, ta transmisya odbywa się nieświadomie dla nich, podobnie jak u wieprzów; są oni zadowoleni z tego, że dali się społeczeństwu skrępować i zamknąć, zarżnąć; są to Wagnerzy. U innych, potężniejszych jednostek, budzi się prędzej lub później świadomość ich roli, świadomość gwałtu popełnionego przez społeczeństwo na ich naturze i reszta wielkich sił jeszcze niezużytych staje się zarzewiem buntu, niby ostatni żywy płomień gasnącej lampy; są to Fauści. Transmisya więc sił małych okazuje się łatwiejszą, niż wielkich; stąd jednak nie wynika, aby pierwsze miały posiadać większą wartość społeczną, aby drugie były antispołecznemi, albowiem siła wielka nawet bez wszelkiego przymusu zwykła promieniować we wszystkich kierunkach, zwykła rozrzucać na wszystkie strony hojne dary swej bogatej natury; bunt wynika tylko z gwałtu na niej uczynionego z nadmiernego wyzysku i nieekonomii transmisyi. Społeczeństwo jest nienasycone: nie dość mu tego, co dać może nawet najbogatsza natura osobnika, ono wydziera mu i to, co jest jego własnością niepodzielną, bez której osobnik musi zginąć; prowadzi gospodarstwo rabunkowe, samo postępuje antispołecznie, gdyż wybrakowywa siły większe, sprzyja łatwiejszym do transmisyi, ale mniejszym. Z czasem naturalnie pod wpływem hodowli z jednej strony umiejętność transmisyi śród społeczeństw, z drugiej łatwość jej śród osobników musi się zwiększać *). Z czasem rozwinie się może taki „nadczłowiek,“ który będzie w stanie przeprowadzać sam w sobie taką transmisyę w możliwie najkrótszym czasie; byłoby to coś w rodzaju „zamykania jednej szufladki a otwierania drugiej“ (jak o sobie mawiał Napoleon), tylko w daleko obszerniejszym zakresie. Tym sposobem społeczeństwo uniknie częstego dziś marnowania sił wielkich, co jest najważniejszym interesem ewolucyi.

Transmisya siły może się odbywać nietylko *w obrębie danej jednostki*, lecz może *przechodzić z jednej jednostki na drugą*; pominąwszy tu znów transmisyę fizyologiczną, którą powinnaby się więcej, niż dotąd, zająć medycyna, zastanowimy się nad *psychiczną*. Przykład jej mamy w tem, co nazywamy talentem, to jest w pewnej formie przejawienie się siły absolutnej człowieka („iskra boża“ dawniejszych autorów). Jeden artysta narysuje ołówkiem puszczę i dreszcz grozy przeniknie cię na jej widok, czujesz, że za chwilę śród tej głuchej puszczy grom wojny się rozlegnie, opary krwi gorącej ją napełnią i w duszy twej powstają cenne uczucia miłości i nienawiści, cenne pragnienia pracy i walki. Drugi wymaluje wojnę ze wszystkimi jej barwnymi szczegółami, a ty stoisz wobec jej widoku zimny, nieporuszony, nie zapominając ani na chwilę, że przed tobą nie walka wre, lecz wisi płótno, na które pędzlem nałożono farby. Fala życia, fala krwi nie uderzy na cię z obrazu i nie zakipi falą krwi twej własnej. Ta fala, która w tobie na widok obrazu uderza, to właśnie transmisya psychiczna siły artysty, którą ty możesz zużytkować stosownie do swych uzdolnień i ideałów. Podobnież rzecz się ma z utworem muzycznym: jeden zagra go z wielką biegłością, wykończeniem, według wszelkich wymagań teoryi sztuki, a jednak nie zrobi wrażenia; drugi zagra z mniej może doskonałą techniką, a jednak stanie się dla ciebie Tyrteuszem. Na tem właśnie polega wartość, którą daje talent i to nawet wtedy, gdy on wyraża się w formie nieodpowiedniej: gdy np. pisarz utalentowany nie posiada dość wykształcenia filozo-

*) Jak umiejętność transmisyi sił ludzkich w znaczeniu intelektualnem powinna być zadaniem socyologii, tak umiejętność transmisyi w znaczeniu fizycznem powinna być zadaniem medycyny: ileż to chorób mogłaby ona usunąć, ilu ludzi znakomitych uchronić od wczesnej śmierci, gdyby jej się udało np. część siły z genialnego mózgu uczonego przenieść do jego suchotniczych piersi; część siły muskułów przenieść do osłabionych nerwów itp.

---

w koronie kwiatu i rój drobnych muszek z nikłym szmerem kłóci z siwą ścianą. Siedzi Bolek na przyźbie, jak przykuty, na wzgórku wprost niego stoi kilka sosen smętno-spokojnych. Nie wabią go — ani ruch, ani zabawy... Słabo, mdło, ckliwo... Myśli w młodej głowie płyną tak wolno, jak w zgrzybiałym mózgu starca. Za to obrazy przebytych uciech i igraszek dziecinnych mkną w duszy chwilami tak rączo, jak stada wesołych ptaków. Wznoszą się na skrzydłach tęsknoty, zamigocą tęczą radości minionych — i pierzchają, nikną... To pusto i smętnie, aż inne po nich nie nadleca. A nicią, na którą je pamięć niże— rówieśnik — brat Wicuś, a jego — niema, niema!.. Ot, pójdzie sobie za wzgórek, siądzie na pniu przydrożnym i będzie patrzał — to może wypatrzy... Więc rusza.

— Gdzie ty idziesz, Bolku? — pyta matka, które siedzi u okna pochylona nad wyszarzałą suknią i ceruje ją.

— Pójdę, mamo, na spotkanie „ich.“

Spogląda na matkę, a ona jest taka blada, ze śladem łez pod oczyma, usta szepczą pacierz... Potrząca smutnie głową i mówi:

— Idź, moje dziecko, może co wypatrzysz, może ich swoim wzrokiem do nas ściągniesz.

Powlókł się chłopiec.

. . . .

Oddawna jest już tu za wzgórzem — nie pamięta nawet, kiedy, nie umie powiedzieć sobie, co widział po drodze — i siedzi na kłodzie, od lat kilku burzą zwalonej sosny. Nieopodal idzie droga — właśnie ta sama, którą „oni“ pojechali i wrócić mogą, za plecami — las. Polanka nudna, jałowa prześwieca z boku. Wytęży on oko — ciżba brzóz, sosen i dębów, a u stóp ich miejscami zielone mchu poduszki lub wrzosy i „bahun“-bagno, po białem próchnie kłody — spacerują czarne, duże mrówki. Nastawi ucho — las gwarzy, pastucha głos gderliwy gdzieś niedaleko słychać i dzięcioł w gałąź puka, a gałąź drży i brzęczy. Nikt nie jedzie — żaden wóz nie zaskrzypi, nie zaturkocze!.. Tęskno, nudno. Pożółkłe liście szeleszczą sucho i spadają za podmuchem wiatru na ziemię — kładą się cicho, potulnie obok dawniej strąconych, żeby butwieć pomaleńku. Smutek chwyta za serce Bolka. Oko pada na pleśń białawą, co wystąpiła przez noc na łatkach ziemi wyścielonej igliwą: „Ziemia kwitnie! — myśli chłopiec. Będą grzyby.“

I myśl jego kołacze się około wspomnień grzybobrania, w którem tyle razy uczestniczył z ojcem. Las pachnie jesienią, spalenizną ognisk rozniecanych gdzieś w nocy, ale niezagasłych jeszcze zupełnie. Płakać się chce chłopcu... Chyba już iść do domu? A słońce, którego się pyta o radę i godzinę, śmieje się, uwikłane w liściach i mówi: „To tobie się zdaje tylko, biedaku, że wieki tu siedzisz — ja jeszcze ciągle stoję tu za wierzchołkiem tej sosny kędziorzawej z jemiołą. Poczekaj jeszcze!“ Poczeka, aż ono z ponad wierzchołka wyjrzy i „a kuku!“ zawoła. Może wypatrzy nareszcie... Ot i „brusnice“ — borówki rumienią się w trawie — zjeść można! Wiewiórka krząta się w krzaku leszczyny... Spłoszy ją, będzie rozrywka oku. Zwierzątko rude i zwinne pierzcha i trzęsąc nastroszoną kitą, burczy, skacze z sęka na sęk, z gałęzi na gałąź — aż do słońca, tam w blasku znika.

Hej, dobrą nowinę drzewa niosą. Coś się toczy w głębi lasu po drodze korzenistej— toczy, drga, dudni... A sosna sośnie, brzoza brzozie powierzają echo, zdradzające tajemnicę jazdy czyjejś. Chłopiec patrzy i słucha. Jeżeli koń jeden tylko a myszaty, jeżeli na kałamaszce dwie osoby sterczą — niezawodnie „oni!“

Po za rzadką osłoną lasu, na polance, majaczeje kałamaszka. Jeden koń ją wlecze, ale jakiś szpakowaty, nie siedzą w niej dwie osoby, ale jedna, i ta w kitlu białym, jakaś obca... Nie, ależ to ich własny koń, stara, dobrze znana szkapa... Tylko czegoś pociemniała?.. A to — Wicuś... Ale sam?..

Wypatrzył więc...

— Wicuś!.. To ty? A tatuś?..

ficznego lub socyologicznego; mimo niezgadzania się na jego poglądy, cenimy jego talent, to znaczy cenimy znaczną siłę absolutną, która nam się udziela i my możemy ją zużytkować w sposób odpowiedniejszy.

Tak więc w ocenie człowieka mamy do rozważania dwa względy: jego siłę absolutną i jej transmisyę; ideałem ludzkości jest spotęgowanie i *uruchomienie siły*.

(D. n.)

Wacław Nałkowski.

Sprostowanie: w numerze poprzednim wydrukowano schiopienie zam. schłopienie.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Rudyard Kipling, *The story of the Gadsbys.* — Hall Caine, *The Scapegoat* (kozioł ofiarny).

Zestawienie Kiplinga z Cainem — dwu słynnych w chwili obecnej realistów — nasuwa nam kilka uwag o realizmie wogóle. Główną wadą tego kierunku jest to, iż cierpi on zwykle na wielomówność, a bardzo często — na niechlujstwo. Jest zbyt jasnym i ścisłym, aby mógł wywierać na wyobraźnię całą potęgę, którą sztuka wywierać powinna. Największą siłą panującą w człowieku jest fantazya, ona też dostarcza mu największych rozkoszy. Realizm jest najlichszym rodzajem sztuki, gdyż zapoznaje prawa suggestyi. Wymowa pisarza polega na tem, czego nie mówi, czego wypowiedzieć nie jest w stanie. Nawet z życia codziennego wiemy, iż insynuacya daleko bardziej nas przestrasza, niż jasne i określone oskarżenie. Ofiara insynuacyi błaga zwykle, aby jej jasno powiedziano, czego od niej chcą. Czemu? Gdyż dopóki niema nic określonego, pracuje wyobraźnia i powiększa męczarnie. Miłość w swych radościach i cierpieniach jest głównie — może nawet wyłącznie — sprawą wyobraźni. Miłość właściwa — a nie przyjaźń lub czułość — ginie wraz z posiadaniem, gdyż wszystkie suggestye wobec zbytniej pewności i określoności się kończą, fantazya składa swe loty. Realizm zapoznaje te zjawiska, wprost oczywiste; wprowadził on do sztuki kierunek, który odpowiada miłości po posiadaniu. Nigdy nie potrafi on zawrzeć w małej objętości masy suggestyi, jak to umieli czynić romantycy. Weźmy np. *Dziady*. Jak nasz wieszcz potrafił ten zwykły wypadek, miłość nieszczęśliwą, otoczyć czarami poezyi ludowej, wywoływać niepostrzeżonemi dotknięciami stron duszy ludzkiej nieskończone i dziwne echa, tajemnicze oddźwięki, półtony, zaklęcia! I koniec końców na kilkudziesięciu stronicach otrzymujemy dzieło, które daleko więcej nam mówi, niż cała biblioteka realistyczna. Czemu? Gdyż Mickiewicz umie wichrzyć, targać, rozpłomieniać wyobraźnię. Zaiste, pisarz tem właśnie jest wielki, czego nie wypowiada. Weźmy natomiast tak wielkiego mistrza realizmu, jak Turgeniew. Największą wadą — jakkolwiek mu to zwykle za przymiot uważają — tego artysty była zbytnia jasność i przezroczystość. Jeżeli przed dziesięciu laty przeczytałem jakiś jego utwór, to obecnie powtórnie czytać go nie będę, gdyż on mi tak wyraźnie utkwił w pamięci, iż nie zatarł się najmniejszy nawet szczegół, pamiętam wszystko z nieubłaganą pewnością i niczego domyślać się nie mogę. Jeżeli to się tyczy nawet Turgeniewa, to cóż dopiero powiedzieć można o tej armii niechlujów, wielopisów, którzy guzdrzą się, rozmazują, rozwadniają i psują jedną ręką to, co stworzyli drugą? A to nieszczęsne zamiłowanie do anegdoty, szczegółu i dokumentu. Czas już pojąć, iż między rzeczywistością i „chimerą“ w sztuce niema i nie powinno być różnicy. Ta rzeczywistość, którą jesteśmy otoczeni — chociażby najpospolitsza! — jest pełna tajemnic, symbolów i suggestyi. Ona tylko dzięki nawyknieniu pokryła się korą banalności. Któż jeżeli nie artysta, powinien korę tę zerwać i ukazać w rzeczach to, co w nich jest ukryte? Okres pozytywizmu i towarzyszących mu kierunków w sztuce był okresem przejściowym, swego rodzaju kalectwem ducha — tak samo, jak jest praca robotnika wytwarzającego tylko główki od szpilek. Ideał odwrotny, rozwoju normalnego, dał nam w czasach nowszych Goethe i po tej drodze pójdzie przyszłość. Realizm jest wytworem pozytywizmu. W sztuce zamienił się on na poligrafię, rozwodnioną gadaniną, nawet na „pracę naukową,“ jak tego chciał nieszczęśliwiec Zola! Jest to sztuka odpowiednia dla kumoszek i stróżów. Nie mamy, rozumie się, nic przeciw malowaniu rzeczywistości, ale ono nie powinno się zamienić na fotografię i zresztą na tem zadania sztuki się nie kończą, przeciwnie, one tu dopiero się rozpoczynają. Weźmy przykład z tego samego Turgeniewa. Istnieje małe jego opowiadanie p. t. „Bieżyn ług.“ Trudno o większy realizm w szczegółach: ciemną nocą, przy ogniskach siedzą wiejskie chłopaki i opowiadają sobie baśnie o topielcach, rusałkach itp., zdala słychać tentent lub rżenie pasących się koni. Wszystko jest tu zupełnie realne, ale czemu te chłopaki czynią wrażenie młodych sylfów i faunów, czemu wszystko to przy pierwszych promieniach zorzy pierzcha jak mara senna, czemu między baśniami i otaczającą naturą istnieje taka zgodność, iż drobny ten obrazek czyni wrażenie epopei panteistycznej? O wszystkiem tem w opowiadaniu niema ani słówka — jest to tajemnicą sztuki Turgeniewa, która zresztą rzadko tylko w tym kierunku działała. Kipling jest realistą o znacznym talencie, ale niestety jest zarazem poligrafem. Gdyby w miejsce sześciu tomów, które napisał w ciągu ostatnich 4 lat, był napisał jeden tylko tomik, mielibyśmy arcydzieło. Obecnie mamy stosy grudy i piachu, w których rozrzucone są tu i owdzie brylanty. Pisuje głównie nowelki, których treść jest dość pospolitą. Jest to wesoły chłopak, trochę nicpoń, lubiący się bawić i śmiać, ale nuta tęsknoty i rozczulenia bywa przezeń nader często zatrącana. Łzy po przez śmiech — to nawet główny efekt młodego autora. Werwa szalona nie opuszcza go ani na chwilę, pełna prostoty i świeżości, bez cienia afektacyi.

Umie on zawsze umieszczać swych bohaterów w odpowiedniem środowisku, które nader zręcznie zakreśla kilku sztrychami, ożywia naturę i ona przyjmuje udział w akcyi wraz z człowiekiem. W opisie bitew i wogóle życia wojskowego jest malarzem skończonym. Wszystko tu jest pełne ruchu, życia i dramatyczności. Nie jest to bynajmniej pisarz wyszukany, w stylu i wrażeniach nie ugania się za wyrafinowaniem, przeciwnie, jego prostota zbliża się bardzo często nawet do trywialności i pospolitości, przekracza miarę i staje się rubaszną. Nie będzie on nigdy ulubieńcem osób delikatnych, ale ludzie, których tworzy, jakkolwiek nie nazbyt złożeni, są pełni życia — jest to raczej pisarz mas i pod tym względem, jak i pod wielu inny-

---

— Nie pytaj!..

I głowę schyla, oczy chowa.

— Siadaj...

Jadą razem, patrzą sobie twarz w twarz i milczą. Bolek wlepia oczy w brata, w jego smutne, pobladłe, wynędzniałe policzki i sam nie wie, czemu — drży. Drżą mu nogi, ręce — drży cały. Ząb o ząb klapie. Słowa im w gardle więzną — połykają ślinę głośno, kurczowo.

— Wicuś!.. Gdzie tato?..

— Cicho, cicho, Bolek...

— Gdzie tato?

— Niema... Tylko ty, błaźnie, nie becz!..

— Nie będę... Mówże!

— Tato... nie beczże...

A jemu samemu pierś wzbiera płaczem i łzy sypią się gradem.

— Tato... tato... kazał długo żyć!

Ostatnie trzy złowrogie wyrazy zmieniają się w ryk bólu i rozpaczy. Lejce wypadły mu z rąk, objął brata za szyję — i łka, a Bolek zanosi się od płaczu i woła: „To sen, to sen, to sen! Tatuś żyje, żyje — otóż żyje!“

A koń przystanął, zwiesił smutnie uszy, słucha i łbem potrząsa.

— Otrzyjmy łzy, Bolku...

— Otrzyjmy..

— Niech mama tego nie widzi...

— Aha... niech nie widzi...

I ruszają wolno, wysoko sterczące na kałamaszce. Siedzą na workach, węzłach i węzełkach — na miłosierdziu ludzkiem w nich zawartem. Ze sklepienia niebieskiego grzeje ich słońce, z pod spodu — dobroć serca bliźniego, na garnce, kwarty, łokcie i funty wymierzona. Wicuś wiezie jeszcze coś więcej, ale w sobie... Wiezie straszny obraz śmierci ojca, wyryty w pamięci: „Ma topór w ręku, obuchem do klina, ostrzem zwrócony do głowy. Klin tkwi w kole, on wpędza go. Koło niewstrzymane biegnie... Topór nagłym ruchem odtrącony, tnie powietrze... Tak! powietrze, tylko powietrze; nie coś twardego, co żyje, jęczy i tryska... Tryska — krwią i miazgą szarą... Dużo zamętu i ludzi... Dużo płaczu — wóz i cichy lasek za wsią, opasany rowem... z bramą.“

— To sen, to sen! — uspokaja siebie Bolek podszeptem młodej, niegościnnej jeszcze dla posępnych obrazów i wytrwałych kolców życia — duszy.

— Żebyż to! — szepcze Wicuś.

Sto razy w drodze myślał, że — ot, otworzy oczy i zobaczy siebie na łóżku — nie w polu, na kałamaszce, wobec tylu ciekawych, chłodnych gwiazd — i, odetchnąwszy wolniej, zawoła: „Chwała Bogu, że to sen tylko!“ Oddawał duszę zdławioną na łup chwilowemu złudzeniu i błagał: „Zabierz mnie!“ Ale zawsze nieugięta prawda siadała za woźnicę z latarką w ręku przed nim i mówiła — „nie!“

Ten sen nie opuści go już długo...

Już blizko dwór, dachy widnieją, aleja topoli ich przyjmie i w głąb pociągnie. Zaraz przed ganek zajadą. W oknie zaświeci blada, zdziwiona twarz matki — przeszyją szeroko rozwarte, wyblakłe w płaczach oczy. W uszach dźwięczy jej zapytanie straszne — jej głos zmieniony...

Lepiej minąć dwór i jechać tak przed siebie, dalej w świat, gdzie oczy poniosą... Udało się! — mijają szczęśliwie smutną rzeczywistość i ruszają za lasy, za rzekę, do tej ślicznej, śmiejącej się blaskami i szmaragdem łąki. Na niej stoi łuk tęczy i radością drży... To daleki świat uroczych czasów dzieciństwa! Tak błogo, lekkomyślnie... Ganek?.. Ale to nie ten, na którym zatoczy się zaraz matka, boleścią przeszyta, tylko ten drugi dawny, na który niebawem wyjdzie mama z tatusiem i uścisną tęskne dzieci, wracające z gościny długiej. Zasiądą razem u stołu, pokażą podarunki — będzie dużo pytań wesołych i odpowiedzi, dużo tkliwych spojrzeń...

Zajechali — zadrżeli...

mi przypomina Prusa. Jak rzekliśmy, główna jego zręczność polega na przeplataniu czułości z ironią. Ironia jego jest lekka i pogodna, niema w sobie ani goryczy, ani ostrza — nie jest to ani poświst bicza, ani złowrogi połysk stali. Przeciwnie, ma w sobie wiele dobroduszności, która nie opuszcza autora nawet w scenach wzruszających, patetycznych i tragicznych. Jest to pewna przyrodzona zdolność umysłu chwytania wszystkiego ze strony śmiesznej — zupełnie jak u Prusa. Ale ten uśmiech dobrotliwy ma w sobie coś nader familiarnego — są pisarze, którzy, zdaje się, klepią was po ramieniu, a nawet po brzuchu, bez złej myśli — zupełnie jak Prus. Tego rodzaju natury są zwykle ekspensywne; tem dziwniejsza, iż Kipling umie zachować w czułości pewną dystynkcyę, jego wstydliwość i powściągliwość jest pod tym względem nader ujmująca, ale dobroć swą wyraża bez wszelkich zastrzeżeń przy malowaniu dzieci, które szczerze lubi. We wszystkich cechach powyższych można łatwo odnaleźć wpływ Dickensa, który jest dla autora naszego wzorem bezustannym. Drugim kierownikiem jego nie mniej oczywistym jest Poe. Ten nauczył go sztuki trochę bardziej subtelniej: tomik Kiplinga poświęcony fikcyom i strachom p. t. „The Phantom Rickshaw“ jest może najlepszą jego rzeczą. Tylko, niestety, autor nasz nazbyt lubi się śmiać i nie umie wytrzymać „serieux lugubre,“ które w tego rodzaju materyi jest niezbędne i które w tak wysokim stopniu posiadał Poe i Villiers de l'Isle Adam. Kipling nie umie mistyfikować poważnie, to też nie wywołuje wrażeń okrutnych, pod wpływem jego strachów włosy nie stają na głowie, a jeżeli dreszcz zaczyna przebiegać po czytelniku, to wnet zostaje powstrzymany pewnym odcieniem, bardzo lekkim zresztą, blagi. Dla swych waryatów i halucynantów wzbudza on raczej współczucie, niż co innego. Wogóle Kipling jest obecnie największym nowelistą Anglii, zakroju wszakże na większego pisarza w nim niema. Posiada talent dramatyczny, ale i on prawdopodobnie większych rozmiarów nie przybierze, jak sądzić można z rodzaju komedyi „The story of the Gadsbys,“ gdzie bardzo zręcznie wyśmiewa wojskowych, biorących na siebie obowiązki małżeńskie, ale jest to raczej zbiór luźnych scen, niż komedya.

Hall Caine uważany jest obecnie za angielskiego Victora Hugo: piękna fantazya, wiele uczucia, wspaniały język, ale brak myśli, banalność, płytkość i psychologia wprost dziecinna. Przytem Caine'a zaraził niszczący wpływ realistycznej poligrafii. Przedstawmy sobie, iż fizyologia umie zużytkowywać w sposób mechaniczny pracę mózgu i że łączymy go z maszynką od mielenia kawy. W takim razie dla mózgu zdolnego wszystko jedno, czy w ciągu roku utworzy jeden mały poemacik, czy też mleć będzie codziennie po funcie moki. Caine jest zdolnym lirykiem, ale niestety pisuje romansidła. Jako curiosum weźmy jedno z nich.

Ostatnie dzieło Hall Caine'a „The Scapegout“ maluje nam okropne położenie żydów w Maroku i pod tym względem niektórzy porównywują jego znaczenie z „Chatą Wujaszka Toma.“ Książka cieszy się w Anglii niesłychanem powodzeniem. Bohater powieści Israel Ben Oliel, syn żydowskiego bankiera, wychowany w Londynie, osiadł po śmierci ojca w Tangerze, gdzie gubernator powierzył mu urząd dyrektora podatków. Ponieważ w życiu cierpiał wiele od ludzi — między innemi dzięki intrygom krewnych pozbawiony został dziedzictwa po ojcu — więc na nowym urzędzie postanowił wyciskać z biedaków podatki bez wszelkiego miłosierdzia i jak najprędzej dojść ich kosztem do fortuny. Znienawidzili go wszyscy, zarówno żydzi jak i muzułmanie, pomimo to rabin oddał zań córkę swą Ruthę, gdyż młody Izrael w krótkim czasie stał się nader bogatym. Żona powiła mu córeczkę, Noemi, niestety, ślepą i głuchą od urodzenia.

Wrogowie Izraela tryumfowali, a on sam zgnębiony tem nieszczęściem stawał się coraz okrutniejszym — autor szczegółowo opisuje wszelkiego rodzaju zdzierstwa, odbywające się w tym napół dzikim kraju. Niewesołe te opisy przerywane są obrazkami świeżymi wzrostu małej Noemi, której ojciec dodał za towarzysza małe chłopię, negra. Zabawy dzieci przedstawione są z wielką dozą poezyi i zrozumienia. Tymczasem Rutha umiera a czułość Izraela dla córki wzrasta z dniem każdym, zwłaszcza dzięki zupełnemu osamotnieniu, w którem żyje. Jej kalectwo stanowiło dlań źródło ciągłych męczarni. Otóż pewnej nocy Izrael miał sen proroczy. Ukazał mu się Odwieczny i objawił, iż Noemi jest kozłem ofiarnym za grzechy swego ojca. Był to grom, który obudził nareszcie długo uśpione sumienie. Następuje skrucha gorąca. Winowajca postanawia poprawić wszystko zło, którego był przyczyną i rozdać swe skarby biedakom. Po pierwszych zaraz krokach na tem polu córka jego odzyskuje słuch dzięki gorączce. Izrael postępuje dalej po tak skutecznej drodze i Noemi odzyskuje naraz mowę, podczas napaści na ojca, którego tłum rozjuszony chciał zabić za dawniejsze jego zdzierstwa. Jest to bajka o synu Krezusowym. I Noemi, krzyknęła na zbójców: „Litości, litości!“ Pozostaje wszakże jeszcze ślepą. Wówczas Izrael rozdaje ostatek swych skarbów, puszcza niewolników na swobodę i wyrzeka się urzędów. Gubernator dowiedziawszy się o tem, jest wściekły, grozi Izraelowi śmiercią — i pod wpływem nowego niebezpieczeństwa Noemi odzyskuje wzrok. Wówczas Izrael z piękną i zdrową córką ucieka do pustyni, osiada w chacie samotnej i po wielu romantycznych przygodach Noemi wychodzi nareszcie za pewnego anglika. Uf! nie sposób powtórzyć tej strasznej lichoty. Nieprawdopodobieństwa, nędzne melodramaty — takie są wszystkie pomysły autora. Wspominamy jednak o nim, gdyż dzieło jego ma pewne społeczne znaczenie: marna ta anegdota rozsnuta jest na kanwie stosunków walki rasowej, przedstawionej z sympatyą dla cierpiących — tak dalece, iż Związek żydowski w Londynie „obstalował“ za grubą sumę inny romans w tymże duchu na tle innych stosunków. Wspominamy o nim z drugiej strony dlatego, iż Hall Caine jest jednym z najpoczytniejszych autorów współczesnej Anglii, pomimo że brak mu pomysłów i psychologii: jest to spirytualista o wielkiem natężeniu życia moralnego, walczący wciąż za sprawę upadłych i ciemiężonych, występujący wciąż w imieniu tradycyjnej nauki Chrystusa bez wszelkich filozofii. Jednem słowem „guter Mann aber schlechter Musikant.“ Nie sposób mu zresztą odmówić daru poetycznego, jest to raczej liryk, niż powieściopisarz. Na każdym kroku znaleźć można u niego wspaniałe wylewy uczucia i dowody bogatej fantazyi. Natomiast kompozycya jest słaba, a akcyi dramatycznej niema żadnej. Dzięki tejże naturze talentu daje on nam w swych romansach nie ludzi żywych i odrębnych, lecz wciąż siebie samego. Jego bohaterowie zawsze są do siebie podobni: porywczy, szlachetni, zapaleni. Rozumie się, o jakiejkolwiek przedmiotowej analizie mowy tu nawet być nie może; autor na wszystko spogląda przez szkła swych uczuć i swej filozofii, która polega, jak rzekliśmy, na ofiarności i wyrzeczeniu.

L. W.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Berlin, 20 października.

Uniwersytety niemieckie w oświetleniu profesorów.

Dwu wielkich tomów in 4-o trzeba było, ażeby pracę uniwersytetów niemieckich opisać; tysiąca kart zaledwie starczyło, ażeby różnostronną ich działalność zobrazować — i światu, jako nie ostatni z cudów obwieścić. Dzieło to, wydane przez prof. Lexisa, mieści prócz wstępu, opiewającego „dzieje i istotę uniwersytetów niemieckich“ (prof. Paulsen) i statystyki odpowiedniej pióra ekonomisty Conrada — szczegółowe sprawozdanie kilkudziesięciu uczonych o stanie siedemdziesięciu blizko różnorodnych nauk, wykładanych w wszechnicach niemieckich. Pomimo jednak tak licznego i różnorodnego współpracownictwa, foliały, które leżą przed nami, nie posiadają charakteru właściwego „ankietom.“ Musimy dodać, że sprzeczności w sądach i zapatrywaniach autorów usunięte zostały przez jeden cel wszystkim wspólny, który wymagał sam przez się tożsamości środków opisowych: celem tym był pogląd na uniwersytet niemiecki, jako na ideał nauki i — nauczania.

W pierwszej połowie bieżącego stulecia instytucya ta osiągnęła wpływ największy: w sferze ducha stworzyła jedność niemiecką, która następnie rzeczywistość faktyczną stwierdziła na polu walki. Ale i na polu nauki czystej, istotnej, epoka ta zaznaczyła się w każdej prawie dziedzinie i może wykazać nazwiska, które nietylko po wsze czasy stanowić będą chlubę narodu niemieckiego, ale i w wiedzy wszechświatowej rozpoczynają nowe okresy, tworzą przełomy, odkrywają nowe światy ducha ludzkiego. Rozpoczęła się ta działalność zaraz na początku stulecia: powstają nowe uniwersytety w Berlinie, Bonn i Wrocławiu, następnie w Monachium. Na katedrach widzimy Boeckha i Niebura, Ritschla i Boppa. Ranke wiedzie historyozofię na nowe tory, to samo czyni dla matematyki Gauss, dla fizyki Weber, dla chemii Liebig, dla filozofii J. Müller. Co więcej i co ważniejsza atoli, ludzie ci stwarzają szkoły, z których rok za rokiem wychodzą genialni odnowiciele nauki, a przedewszystkiem znakomici nauczyciele, z pewnemi tradycyami wykładu, z przyjętą i uznaną organizacyą, z umiejętnością laboratoryjną, z pewnymi celami, z zastosowaniemi do nich drogami — z celami, które zdobyć należy i które zdobyte będą. Pomijając już te zasługi, uniwersytet niemiecki ma inne, niemniej ważne cechy charakterystyczne: wolność wykładu i uczenia się (Lehr und Lernfreiheit) — stosunek nauczyciela do przedmiotu swej pracy, pozwalający mu nie wiązać się żadnym zatwierdzonym planem, a natomiast rozszerzający zakres jego działalności i wpływu aż do najdalszej granicy uzdolnień, pozwalający studentowi rozwijać się swobodnie w kierunku samodzielnym. Znaną cechą ustroju uniwersyteckiego jest charakter profesorów jako badaczów, którzy ofiarują słuchaczom prócz ogólnych rezultatów wiedzy i własne owoce, odkrycia i wynalazki, wskazując im szlaki przyszłej, własnej pracy, broniąc ich i ostrzegając przed utartą formułą, przed czcią bezwzględną dla martwej powagi drukowanego słowa, przed zaskorupieniem się w przeszłości. Z tą cechą związana jest blizko inna, ważniejsza jeszcze: mówimy tu o stałem współzawodnictwie, wypływającem z niezwykle ważnej instytucyi prywatdocentów. Obawa utraty słuchaczów,

którzy z łatwością przenieść się mogą pod skrzydła zdolniejszego konkurenta, wykładającego ten sam przedmiot w tem samem miejscu i czasie — zmusza profesora do ciągłego pozostawania na poziomie ostatniej zdobyczy nauki i do podtrzymywania jak najlepszych stosunków ze swojem audytoryum. Z drugiej znowu strony prywatdocent jest zawsze żywiołem młodym, przynoszącym z sobą do zmurszałych murów wszechnicy wiosenne powiewy nowych teoryj. Jest to czynnik burzący w stosunku do wiekowych tradycyj, gąbka wsiąkająca z łatwością ożywcze soki przewrotów umysłowych. Prywatdocent nie wiąże się planem egzaminacyjnym, obejmującym nauki konieczne: ma prawo (po załatwieniu pewnych formalności, niekiedy bardzo uciążliwych) ogłosić wykłady z każdego przedmiotu, nad którym pracuje: z socyologii (którą zrzadka tylko obejmują plany wykładowe), albo z dziejów rodziny, albo o prawodawstwie Manu. Kilka cyfr wystarczy, ażeby wykazać, jakie znaczenie posiada ta instytucya, która przez pisarzy obcych, francuskich i angielskich, uznana została za doskonałą i godną przeniesienia na inną glebę. Liczba profesorów w 22 uniwersytetach niemieckich wynosi 2,275, z których mniej niż połowę stanowią zwyczajni (1029) liczba zaś prywatdocentów przewyższa zastęp profesorów nadzwyczajnych i daje 655 osób, nie otrzymujących żadnej pensyi etatowej, a żyjących z niewielkich dochodów, pobieranych od słuchaczów i z pracy literackiej. Na niektórych wydziałach cyfry te stają się poprostu fenomenalnemi: kiedy bowiem na filozofii 519 prof. zwycz. odpowiada 346 prywatdocentów, na wydziale medycznym obok 211 pierwszych znajdujemy aż 238 ostatnich. Objaśnić się to daje bardzo łatwo tem właśnie zjawiskiem, że ze wszystkich fakultetów lekarski rozwija się w czasach naszych najszybciej, że różniczkowanie wiedzy odbywa się tu prędzej, niż gdzieindziej, że odpadanie nowych samoistnie mających rozwijać się umiejętności od organizmu wiedzy macierzystej następuje w tak przyśpieszonem tempie, iż katedry zwyczajnych profesur nadążyć mu nie mogą dla braku odpowiednich środków.

Przyjrzyjmy się nieco statystyce. Zaznaczyliśmy już, że Niemcy liczą obecnie 20 uniwersytetów pełnych, prócz Akademii królewskiej w Münsterze, posiadającej dwa tylko wydziały (teologiczny i filozoficzny) i liceum Hosianum, które ma charakter katolicki. W tych 22 wyższych zakładach uczy się blizko 30 tys. ludzi, co stanowi 57 na 100,000 mieszkańców (1892). Zaznaczmy, że porównawcze zestawienie uczącej się młodzieży w Europie za przeciąg lat 1886-89 daje najwyższy procent dla Belgii, (82,3 na 100 tys. mieszk.), następnie idą kraje skandynawskie (Norwegia 76, Szwecya 57, Szwajcarya 55,6), Austrya (55), Włochy (51), Niemcy (48), Dania (47), Hollandya (45), Francya (41), Rosya — 9,9 w stosunku do 100 tys. mieszkańców. Ta tabliczka porównawcza wykazuje, że pod względem wykształcenia wyższego Niemcy nie zajmują wcale wybitnego stanowiska, innemi słowy, że nadprodukcyi umysłowej nie posiadają. Inaczej jednak rzecz się przedstawia w przeglądzie wydziałów zosobna. Liczba pracowników wynosiła według obliczeń Conrada w ostatnich półroczach 6,850, co stanowi 13,8 w stosunku do 100 tys. mieszkańców albo daje podwójną ilość, jakiej wymagają potrzeby krajowe; natomiast medycyna zabiera 8,400 czyli 17,4 na 100 tys., filozofia 7400 czyli 15 na 100 tys. mieszkańców. Tutaj właśnie uwidocznia się najlepiej nierównomierny podział uczniów — a także zdobywanie wiedzy dla niej samej, tj. takiej, jaką ze wszystkich wydziałów uniwersytetu najwięcej jednoczy filozoficzny, najmniej zawodowy, rzemieślniczy, praktyczny. Jeżeli więc często (i to nietylko w Niemczech) na porządku dziennym staje kwestya „nadprodukcyi inteligencyi“ — to rzecz prosta mowa być może tylko o nadmiarze rzemieślników naukowych, posiadających w pełnej gamie wszelkiego rodzaju pretensye do powabów i rozkoszy życia powszedniego.

Nie możemy oczywiście w krótkiej wzmiance prowadzić czytelnika śladem poszczególnych rozdziałów książki, tem bardziej, że zakreślając kompetencyi własnej skromne granice, w lwiej części sprawozdania musielibyśmy słuchać powolnie głosu interesowanego profesora. Nie należy bowiem zapominać, że ankieta Lexisa jest w istocie swej panegirykiem na cześć uniwersytetu niemieckiego, zamilczającym o wszelkich jego brakach, jakie w ustroju uniwersytetu zauważyć się dają. Już od r. 1885, tj. od czasu, kiedy francuz Jerzy Blondel poddał surowej krytyce ubóstwiany do tej pory fakultet prawny wszechnic niemieckich, pierwotne oburzenie rzeczoznawców na wroga przeszło w rozumną reakcyę przeciwko konserwatyzmowi tego działu nauki. Posypały się pisma ulotne profesorów, stawiające dyagnozę choroby, domyślające się jej przyczyn i przepisujące środki lecznicze (Goldschmidt, Gneist, Burckhardt itd.). W ostatecznym rezultacie wina okazała się i po stronie młodzieży, nieuczęszczającej na wykłady, i po stronie profesorów, lekceważących swoje obowiązki, i w systemie egzaminów, przypominających swą formalistyką czasy średniowieczne. Spór, którego zarzewie zręczną ręką francuza rzucone zostało już przed laty dziesięciu prawie, dotąd załatwiony nie został i na chwilę tylko ucichł, gdy umysły prawników zaprzątnął całkowicie „Projekt kodeksu cywilnego“ — jabłko niezgody wszystkich warstw społecznych, wszystkich partyj naukowych.

Jakkolwiekbądź — pomimo całego sceptycyzmu, z jakim przystępujemy do apologii profesorskiej — przedmiotowy badacz przyznać musi, że uniwersytety niemieckie stoją niezwykle wysoko, najwyżej być może jako organizacya pracy w świecie ucywilizowanym. Francya i Anglia — współzawodniczące z nimi — mogą poszczycić się genialnymi badaczami, którzy w pojedynczych wypadkach przewyższać nawet potrafią odpowiednie siły niemieckie. Ale zaprzeczyć trudno, że na polu podziału pracy, w jej organizowaniu, ani Paryż, ani Londyn współzawodniczyć nie mogą. Tam są geniusze, którzy w pojedynku turniejowym z przeciwnikiem niemieckim zdobywają palmę pierwszeństwa, tu zaś są szkoły całe, są tradycye — jest armia wyćwiczona i karna, która w otwartem polu poszukiwań poruszać się umie łatwo i liczebnością swoją przewyższa zastępy naukowo obce. Można korzyć się przed pierwszymi, ale nie należy zapoznawać wartości drugich.

Zen. Por.

LISTY J. SŁOWACKIEGO
do Karola Pettiniaud Dubos.

Może który z czytelników zapamiętał z niedawno ogłoszonego testamentu Słowackiego imię francuza, który należał do drużyny tych, co mogli pokochać „dumne serce“ poety. Szczupło to było gronko, ale pod koniec życia zebrało się ich więcej, niż kiedykolwiek, pociągnięci jego wysokim nastrojem moralnym, osładzając mu samotne, zakonne niemal życie. Śród tych przyjaciół był Charles Pettiniaud, którego Słowacki w liście do matki nazywa „człowiekiem złotego serca,“ a którego na dowód zaufania mianował wykonawcą ostatniej swej woli. Był on w ostatnich miesiącach życia Słowackiego jego nieodstępnym towarzyszem; gdy raz przedtem jeszcze „wyjechał do rodziców na wakacye jako artysta,“ odjazd ten odczuwał dotkliwie Słowacki. Wspomina o nim serdecznie w listach do matki—tylko wydawcy przekształcili do niepoznania jego imię — poleca też kochanego przyjaciela wujowi T. Januszewskiemu, aby „w każdym razie do niego się udał po przyjacielsku, a nie zawiedzie się“ (Porównaj listy J. Słowackiego z Paryża 25 sierpnia 1848 r. i 4 marca 1849 r.). Z Karolem Pettiniaud wiąże się tu w listach imię młodzieńca, który w owym czasie był najbliższym sercu Słowackiego, a który jako ostatni z tego grona żyjący mógłby nas, gdyby zechciał, najlepiej poznajomić ze wszystkiem, co łączyło twórcę „Króla Ducha“ z francuzem. Szczęsny Feliński, o którym tu pisze Słowacki w liście do przyjaciela, był w owym czasie świeckiego jeszcze stanu i liczył dopiero około 24 lat. Przybył — jak podaje A. Małecki—z końcem r. 1847 w zamiarze ukończenia tu nauk w Sorbonie i w Collège de France. Poznał się ze Słowackim na początku r. 1848 i pod wpływem natchnienia i mistycyzmu poety zmienił się do tego stopnia, że porzucił hulaszcze życie i stał się religijnym. Od owego czasu aż do ostatniej godziny życia był już Szczęsny razem z Karolem Pettiniaud najmilszym powiernikiem poety. Do tego kółka należeli jeszcze Ludwik Norwid, Wojciech Stattler i K. Ujejski. „Przez pięć lat pracowałem — pisze Słowacki — tak, jak może jeszcze żaden człowiek nie pracował. Skutki tej pracy nie w księgach są, ale w żywych sercach i w duchach, w które je wrzuciłem i posiałem. Małe są to ziarenka i nie wiem nawet, czy Pan zechce kiedyś światłością swoją dopomódz, aby wyrosły i kłoski swoje prosom podobne porodziły. A jednak mam tę wiarę i ufność pewną, że praca moja żywa lepszą jest, niż praca moja umarła, która już w foremkach się swoich glinianych pokazała i nazywa się poezyą moją...“ A w tej pracy duchowej obejmował swemi skrzydłami opiekuńczemi przedewszystkiem Szczęsnego. W listach do matki od 22 stycznia do końca życia wspomina o nim, na każdej karcie nazywa go „czystym brylantem i skarbem moim.“ „Ukochany to jest chłopiec, już z chłopca człowiek; wszyscy go tu ukochali szanując, postępki jego były anielskie, wiedza rozkwitająca.“ W owym właśnie czasie — jak się z listów niniejszych dowiadujemy, położenie Felusia było opłakane: „doznał twardej nędzy, wodę nosi, jeść gotuje.“ Poeta ratował go, o ile mógł, będąc w Paryżu, nie zapominał nawet po wyjeździe swym w Poznańskie, w burzliwy czas rewolucyi lutowej, i oto z drogi jeszcze błagalnym tonem prosi przyjaciela Karola Pettiniaud, aby się zaopiekował biednym, donosząc równocześnie rodzinie z Ostendy 14 lipca 1848 r., że „Felusiowi już kazał w Paryżu dać cokolwiek (100 fr.) pieniędzy, lękając się, aby pobyt w Ostendzie nie był mu kilku dni „stroskanych przyczyną.“ Feliński darzył go nawzajem najidealniejszą przyjaźnią. Wiadomo, że na jego rękach umarł poeta, a ostatnie jego chwile opisał w liście, który z pewnemi zmianami był kilkakrotnie drukowany. Natomiast nieznaną jest następująca trafna charakterystyka Słowackiego pióra Felińskiego, którą ty przytaczam z współczesnego rękopisu.

„Słowacki był to człowiek wielkiego serca — znałem go osobiście i mogę powiedzieć, że to jest jedno serce męzkie, które we mnie wzbudziło szacunek dla siebie. Ten człowiek cierpiał wiele, jego całe życie było pasmem rajskich rozkoszy i mąk piekielnych. Żył w ciągłych złudzeniach, w świecie stworzonym przez siebie i napełnionym istotami, które sam z gliny ulepił i swoim duchem ożywił. Jego rozum był nieprzytomny i gdyby tak było za-

wsze, byłby może jednym z najszczęśliwszych ludzi, jakiego ta ziemia nosiła. Lecz na nieszczęście swoje miewał *lucida intervalla*, w których miał tak zimny i bystry rozum, że się widział pijanym szaleńcem śród trzeźwego świata. Wtedy jego czarnoksięzkie koło rozszerzało się w nieskończoność... zaczarowane postacie i duchy zapadały się w ziemię, a on zostawał sam, bez łez i pieśni, i wracał między gody, jak to sam mówi w swoich pismach...“

Pierwszy list J. Słowackiego do pana Pettiniaud, bez daty, pisany był najprawdopodobniej z Wrocławia w połowie maja 1848 r., jak tego dowodzi wzmianka o zaszłej nagle śmierci pierwszego egzekutora testamentu, Lomana, w liście matki z 14 maja tegoż roku. „Zagnała go tam oryginalna myśl — zawiązania między rewolucyonistami poznańskimi... konfederacyi!“ Pisze o tem dokładniej w swem znakomitem dziele A. Małecki.

Dodaję tu jeszcze z autografu kilka cyfr zapisanych w budżecie z ostatnich lat życia Słowackiego, w celu objaśnienia jego stanu majątkowego, o którym napomyka niewyraźnie w listach do pana Pettiniaud:

Na rok 1848: w Kasie

U G. Lafitte w biletach .	7000 fr.	Od matki fr.	3600
30 akc. dr. Lyon podl. kur.	4500 „	Straty na	
Bilet bankowy . . .	1000 „	akcyach „	3500
Bilet na Rotszylda . .	822 „	Różni. 1847/8	2688
Gotówką	550 „	Wydatek fr.	2788
Razem	13872 fr.		

Załączone tu listy Słowackiego, po raz pierwszy ogłoszone drukiem, podaję w tłomaczeniu polskiem z francuskiego, składając podziękowanie za pozwolenie zużytkowania ich prof. A. Małeckiemu.

Drogi przyjacielu!

Wyjeżdżając z Paryża, pozostawiłem tytułem depozytu p. Loman, zamieszkałemu w Batignoles, rue de Currierie nr. 7 cały mój niewielki mająteczek, składający się:

1) z biletu kasy Lafitte,

2) z drugiego biletu,

3) z 30 akcyj drogi Lyon na okaziciela.

P. Loman dał mi na to wszystko pokwitowanie, któreś ty sam zaniósł, jeżeli pamiętasz, do *bureau du Cimbre* dla wciągnięcia go do ksiąg. Otóż dowiaduję się obecnie, że p. Loman umarł, obawiam się więc, aby drobny mój mająteczek nie zaplątał się w sukcesyi, nim zdążę o niego się upomnieć. Proszę Cię więc, drogi przyjacielu, biegnij, póki jeszcze czas, do mieszkania nieboszczyka. Dowiedz się, czy pozostawił testament i kto jest wykonawcą testamentu. W razie, gdybyś nie znalazł w domu nieboszczyka nikogo, ktoby Ci chciał dać ich adres, udaj się, drogi przyjacielu, do Eustachego Januszkiewicza na de Moscou nr. 1 i opowiedz mu w mojem imieniu, o co chodzi. Jako przyjaciel pana Loman, będzie mógł może udzielić Ci od siebie wszelkich wskazówek, jakie mi są potrzebne. Bilety *de la Caisse Goin* nie mogą zaginąć, ponieważ są wystawione na moje imię, gdyby więc zostały wplątane do likwidacyi danego domu, nie dałyby się spieniężyć tak łatwo, ale akcye kolei żelaznej Lyońskiej, wystawione na okaziciela, mogą już być sprzedane, jeżeli nie były zanotowane w papierach nieboszczyka. Zechciej więc, drogi przyjacielu, wziąć do serca tę sprawę, która do pewnego stopnia obchodzi moją przyszłość i postaraj się zawiadomić mię jaknajwcześniej o wyniku informacyj, jakie otrzymasz.

Wyznaję Ci, drogi przyjacielu, że nagła owa śmierć człowieka, do którego miałem zaufanie, śmierć, o której dowiedziałem się dzięki najdziwniejszemu przypadkowi, była tem dla mnie, czemby być mogła wiadomość o straceniu bagaży dla generała w chwili jakiegoś trudnego, rozpaczliwego przedsięwzięcia. Powiedziałbym więcej — ta śmierć w tak przykry sposób mię dotykająca — szukam w tem ręki Boga i zapytuję siebie, dlaczego chce. — Taka jest wola Boga? I dlaczego? Jako znak od Boga pochodzący, śmierć ta przeraża mnie. Nie wiem naprawdę, jak mam się zapatrywać na ten wypadek przez Boga na mnie zesłany, podczas gdy służę mu z całą gorliwością, do jakiej dusza moja jest zdolna.

Zechciej mi wybaczyć, drogi przyjacielu, że ten list, pierwszy, jaki piszę do ciebie, traktuje o interesach i w tak słabym stopniu harmonizuje z uczuciami, które wzruszają zapewne nas obu obecnie.

Ale od miesiąca znajduję się w ciągłym niepokoju i oczekiwaniu, aby prace moje uwieńczył jakiś skutek...

Ostenda, 14 lipca 1848.

Drogi Przyjacielu!

Oto jestem w Ostendzie — dwanaście godzin drogi dzieli mię zaledwie od Ciebie, upłyną one wkrótce i przestrzeń zostanie przebyta. Mam nadzieję przycisnąć Cię do serca w poniedziałek i podziękować Ci za tę szczerą przyjaźń, której mi dałeś dowody. Wszystko się składa pomyślnie. Nie mógłbym jednak po zmęczeniu daleką podróżą udać się bezpośrednio do Paryża, który musi być teraz podobny do huty i którego ruchliwe życie byłoby mi przykre. Czułem potrzebę kąpieli w oceanie, czyli raczej pierwotnej formy chrztu, dla odzyskania sił. Proszę Cię, drogi przyjacielu, abyś zechciał, jeżeli tylko czas ci na to pozwoli, odwiedzić naszego przyjaciela — Felińskiego: dowiedz się o jego mieszkaniu przy ulicy des Francs Bourgeois St. Michel nr. 8 u p. Karola Rogawskiego — wiesz nadto, że mieszkają z sobą w sąsiedztwie — a gdy go odszukasz, zapytaj, czy nie potrzebuje jakiej setki franków i daj mu je w mojem imieniu jako zaliczkę — ponieważ mi dano trochę pieniędzy dla niego — a nie chciałbym (z powodu zwłoki, wywołanej moim pobytem w Ostendzie) narazić na przykrość tego dobrego Felińskiego, który na wyjezdnem rozdał wszystkie swoje pieniądze przyjaciołom i który obecnie może się znajdować w potrzebie. Tak — zrób to, mój drogi, dwa dni oczekiwania znaczą wiele dla kogoś, co rozdaje, jak on, wszystko, co ma, a jednak potrzebuje jadać codziennie obiad. Czy widzisz, drogi przyjacielu, z jaką ufnością w Twoją dobroć rozporządzam się Twoim czasem, każąc Ci biegać po ulicach Paryża. Czuję się tem niemal zawstydzony. Wybacz mi — i kochaj mię — bo wracając do Paryża, na ciebie głównie liczę, że potrafisz uczynić mi pobyt tam mniej pustym — prawie wypełnionym i jakby promieniejącym od braterstwa.

Do widzenia więc za dwa lub trzy dni.

Oddany Ci sercem

Juliusz Słowacki.

Łączę bilecik do Felińskiego. Adres: C. Pettiniaud Dubos w Paryżu, rue de Londres 29.“

Henryk Biegeleisen.

LIBERUM VETO.

Pytania naszych potomków. — Historyczne wybuchy na rzecz koncertantów. — Rozszalała Anglia. — Przyczynek do rozwiązania zagadki i uroda aktorek. — Paderewski i jego wspaniały koncert. — *Siewiernyj Wiestnik* o Sienkiewiczu i literaturze polskiej. — Porównawcza charakterystyka. — Nie za mało, ale za dużo.

Odlegli potomkowie nasi powiedzą: Albo doniesienie o historycznych wybuchach publiczności dla znakomitych muzyków i aktorów były kłamstwem, albo życie ówczesne rodziło zjawiska całkiem niewytłomaczone. Rzeczywiście, kto tego widoku nie oglądał własnemi oczami, nigdy weń nie uwierzy. Zrozumieć łatwo, że myśliciel, który zmienił podstawy wiedzy ludzkiej, że poeta, malarz, rzeźbiarz lub muzyk, który stworzył wiekopomne arcydzieło, że bohater, który dźwignął swój kraj z niedoli, że takie olbrzymy wywołują zapał, cześć, całą furyę uczuć bałwochwalczych. W tych tworach — jak Gounod mówił o *Don Juanie* Mozarta — objawia się ludziom bóstwo. Ale jak pojąć szał koncertowo-teatralny? Wystrojony artysta usiadł przy fortepianie i odegrał... cokolwiek: nocturn Chopina, fugę Bacha lub rapsodyę Liszta — wszystko jedno — odegrał zaś z taką nadzwyczajną biegłością, że pod jego palcami zginął i Chopin, i Bach, i Liszt, pozostał tylko sam koncertant, a raczej jego szalona technika. Słuchacze biją oklaski, domagają się powtórzenia i naddatków, czemu on szczodrze czyni zadość, wreszcie popis się kończy, ale właściwy wylew uniesień dopiero się zaczyna. Nazajutrz mdleją z uwielbienia sprawozdawcy, melomani, bankierzy, a zwłaszcza damy. Te, zapomniawszy o wszystkiem, o swych mężach, dzieciach, stosunkach, regułach towarzyskich, a nawet o swym nieraz dość późnym wieku, spadają na artystę stadem i wołają roznamiętnione do niego: Człowieku boski, żądaj od nas cokolwiek, oddamy ci; chcesz pieniędzy, weź pieniądze, chcesz dusz naszych, weź dusze, chcesz ciał, weź ciała, ale koniecznie żądaj. Niektóre z entuzyastek, widząc, że artysta nie chce od nich przyjąć żadnej ofiary, nawet cnoty, błagają go, ażeby im coś dał, a gdy opiera się, wydzierają mu: rękawiczki, krawaty, chustki do nosa, w braku zaś tych drobiazgów — wszelkie części bielizny i garderoby. Często oblubieniec po odejściu oblubienic pozostaje w takim stanie, że musi posyłać do sklepów, ażeby mu umożliwiły wyjście na ulicę i dalsze tryumfy w salonach.

Po wyprzęganiach koni koncertantom i mianowaniu aktorek „przewodniczkami młodzieży polskiej“ (w Poznańskiem), karciliśmy te orgie zachwytu jako nasze swojskie obłędy. Była to niesprawiedliwość, gdyż uczynili to samo obecnie z naszymi muzykami anglicy. Jeżeli naród tak oświecony, a zwłaszcza tak zimny, poprostu dostaje pomieszania zmysłów po wysłuchaniu gry Paderewskiego lub Śliwińskiego, jeżeli tam mężczyźni wyją aż do bezprzytomności, a kobiety wołają: „czego chcesz od nas panie za twe wielkie dary,“ to nam wolno w podobnych wypadkach tak zwaryować, że straż bezpieczeństwa publicznego włoży wszystkim słuchaczom koncertu kaftany dla furyatów. Jak rzekłem — potomni pytać będą, czy te objawy historyczne rzeczywiście występowały, czy je zmyśliła swoją zwykłą przesadą prasa. Otóż należy uprzedzić naszych pra-prawnuków, że im przekażemy fakty niewątpliwe co do swego istnienia, tylko zagadkowe co do swej psychologii. Dotychczasową wiedzą naszą nie możemy objaśnić, dlaczego rozumny mężczyzna traci równowagę umysłową, a skromna kobieta — równowagę moralną jedynie skutkiem widoku nadzwyczajnej szybkości palców, przebiegających po klawiaturze. Gdyby bowiem artysta odegrał im jakąś nową, nieznaną, przepiękną kompozycyę, ich ekstaza byłaby usprawiedliwiona; ale on gra utwory znane, tylko wykonywa je inaczej i z wyjątkową gimnastyką palców. Czyż podobna, ażeby on nią tak czarował? A przecież tak jest. Słyszałem raz Rubinsteina, grającego na koncercie przed zimną i wybredną publicznością (w Lipsku) *Moment musical* Schuberta — rzecz należącą do repertuaru pensyonarek i uczniów — wywołał burzę oklasków.

Muzyka, chociażby znana, zachowuje swój urok; ponętna twarz lub postawa (Rubinstein jednak był brzydki, jak zgryzione sumienie) koncertanta hypnotyzuje publiczność; sądzę wszakże, że owe czynniki same przez się nie tłomaczą bajecznych jego tryumfów. Prawdopodobnie przyczyniają się do nich warunki popisu — nastrój zebrania, sala, światło itd. Że ich wpływ nie jest obojętny, przekonywa nas sława urody aktorek. Z bardzo nielicznymi wyjątkami są one albo szpetne, albo tak skromnie przystojne, że po za sceną nikt nie zwróciłby na nie uwagi. Tymczasem iluż mają wielbicieli swych wdzięków zarówno w górnej, jak dolnej sferze widowni teatralnej! Nawet recenzenci od czasu do czasu wykrzykują: ach, piękna *...owa*

lub ...*ska!* A ta *owa* lub *ska* urodziła się zupełnie bez wiedzy i woli Afrodyty i Kupido ani przypuszczał, że w czyjemś imieniu będzie puszczał do niej strzały. Śród aktorek warszawskich była jedna odrażająca szczególnie swoją brzydotą, która psuła efekt wszystkich ról przez nią grywanych. Cóż powiecie? Kochali się w niej na zabój starzy i młodzi, a pewien mój znajomy, który z wielu względów powinien mieć gust wykształcony, mówiąc o jej wdziękach, miał całe serce w ustach. — Ależ panie — rzekłem — ona jest paskudna, należy do jakiejś innej rasy... A tak— odparł — ona istotnie należy do rasy pięknych kobiet. — Powiedz mi pan — spytałem — dlaczego my inaczej widzimy? — Bo mnie podobać się może kobieta tylko w świetle teatralnem.

Wracam do Paderewskiego, który tak poruszył anglików, że Heine nie czułby chęci nakręcenia ich, jak zegary. Dokonał tego cudu nietylko grą swoją, ale i kompozycyami. A. Nossig poświęcił temu spadkobiercy sławy Rubinsteina osobny artykuł w *Ueber Land u. Meer*, w którym donosi o nowych jego, podobno prześlicznych utworach i zamieszcza parę szczegółów biograficznych. Ponieważ wspomniał przytem o pewnem mojem spotkaniu z Paderewskim w Wiedniu, uzupełnię tę wzmiankę charakterystycznym szczegółem. Kiedy Chałubiński, który pierwszy wywróżył Paderewskiemu świetną przyszłość, dogorywał w Zakopanem, pojechałem odwiedzić czcigodnego starca. Potrącając w rozmowie różne przedmioty, rzekł on: „I cóż, nasz pan Ignacy wzbija się... Przepowiadałem...“ — Przybywszy do Wiednia i dowiedziawszy się, że Paderewski tam bawi, chciałem go odnaleźć. Dzięki trafowi i Nossigowi, spotkałem go w kawiarni. — „Byłem u Chałubińskiego — rzekłem — który powoli dogasa i cieszy się szczerze pańskiem powodzeniem. Nie powiedział mi tego, ale sądzę, że miałby szczęśliwą chwilę, gdyby pana usłyszał... Jedź pan do niego i zagraj mu...“ Rozstaliśmy się — wyjechałem. Wkrótce doniesiono mi, że Paderewski zaraz pospieszył do Zakopanego, gdzie ciągle grał Chałubińskiemu. Jeżeli zważymy, że podróż ta była dosyć długa i umyślna, że bez żadnego nacisku odbył ją artysta już wówczas rozrywany, a odbył po to jedynie, ażeby ostatnie dni zacnego człowieka rozjaśnić promieniem swego talentu, to musimy przyznać, że posiada on wyjątkowo dobre serce. Ten cichy i tak rzewny objaw szlachetności uczucia nietylko wzrusza, ale imponuje daleko bardziej, niż najhojniejsze ofiary koncertantów, składane dobroczynności publicznej na estradzie. W Zakopanem, w domku Chałubińskiego, nikt artyście nie wydzierał rękawiczek i chustek na pamiątkę, strojne damy nie składały mu hołdów, wielogłowy tłum nie bił oklasków, tylko samotny, konający starzec dziękował mu załzawionem spojrzeniem... To był wspaniały koncert.

Dobrze jest wiedzieć, jak cudze oczy patrzą na naszych ludzi i nasze rzeczy. Paderewski, który, dopóki był między nami, uchodził za szarego wróbla muzykalnego, jakich całe stada świergocą na swojskiej stodole, zaliczony został do orłów przez zagranicę, która nam podyktowała swój wyrok. Z pewnością gdy do nas przyjedzie, podpiszemy jego sławę.

W sierpniowym zeszycie poważnego miesięcznika ruskiego *Siewiernyj Wiestnik* mieści się artykuł krytyczny o nowelach H. Sienkiewicza. Autor stawia wysoko utwory naszego powieściopisarza, tylko zniża wartość obrazka „Pójdźmy za nim.“ Według niego Sienkiewicz „nie podołał tu zadaniu, przerastającemu jego siły.“ Dla odmalowania społeczeństwa, śród którego wystąpił Chrystus, „potrzebny był ogromny talent, wszechstronna wiedza historyczna, wielki beznamiętny rozum (um),“ jakiś „nadzwyczajny talent, słowem, geniusz.“ Ale krytyk w swoje uwagi szczegółowe wtrącił kilka poglądów ogólnych, godnych poznania tem bardziej, że napisane zostały z dobrą wiarą. Najciekawszym z nich jest porównawcza charakterystyka dwu piśmiennictw. „Literatura ruska w jej najlepszych przedstawicielach, w osobach jej olbrzymów poetyckich — powiada krytyk — tam, gdzie wybuchają wyższe pomysły twórcze, jest przedewszystkiem *prorocką*. W niej wszystko dąży ku niebu najczystszym płomieniem zachwytu i entuzyazmu. Jest to literatura, której siła tkwi w patetycznem poszukiwaniu wyższej prawdy, wyższej sprawiedliwości, żywego Boga i żywego człowieka. W niej motywy życia ludzkiego, dążności obywatelskie, różnorodne interesy bytu społecznego są sprowadzone — jak to być winno w każdej literaturze wielkiej, nigdy nieumierającej — do swoich pierwiastków religijno-moralnych. Jej istota polega na nastroju, na bogactwie sił moralnych, na bezlitosnem obnażaniu występku, na sławieniu zasady duchowej. Literatura polska jest obywatelską (grażdanskaja) a przedewszystkiem patryotyczną. Jest ona bogata w przedmioty, w oryginalną fantazyę, doprowadzoną do nadzwyczajnej jaskrawości. Kapryśnie płynie ona naprzód, wijąc się w swoich nieco ciasnych brzegach, podobna do rzeki igrającej drżącą falą między dwiema ścianami skał w miękim, zimnym blasku księżyca. W literaturze polskiej uderza was przedewszystkiem rysunek, artystyczność pomysłu, delikatne odcienie estetyczne. Jest to literatura pełna rozumu (uma), subtelnej inteligencyi, oświecona uśmiechem nieco chytrego dowcipu, pełna dźwięków chłodnych, oderwanych, złowieszczych, jak dźwięki szabel w pojedynku. Jest to literatura znakomita, ale pozbawiona pierwiastku proroczego.“

Zdaje nam się, że ta charakterystyka literatury polskiej zrodziła się z pomyłki. Krytyk porównał piśmiennictwo ruskie obecnego wieku z polskiem — ostatnich lat trzydziestu i dlatego nie znalazł w naszem elementu proroczego. Gdyby znał epokę romantyczną, dostrzegł by go niezawodnie i to w takim nadmiarze, jakiego może żadna literatura europejska nie przedstawia. Tam płomienie zachwytu, poszukiwanie wyższej prawdy, wyższej sprawiedliwości i żywego Boga, tam sprowadzanie potoków życia do źródeł religijno-moralnych i nastrój mesyaniczny — ogarnia wszystkie umysły. A nawet ta doba naszej literatury nazywana bywa prorocką.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

KASY GÓRNICZE.

I.

Na ostatnim zjeździe górników w Warszawie obradowano nad utworzeniem kas trzech typów dla pracowników wszystkich okręgów górniczych w Królestwie Polskiem: emerytalnej w I-ym okr., dla chorych w I i III-m i osobnej kasy zaliczkowo-wkładowej (przezorności) dla okręgu II-go. Projekt wspólnej kasy emerytalnej dla robotników w zakładach i kopalniach I-go okręgu, był poruszony jeszcze na I-szym zjeździe; poczem plan przepisów oddano do przejrzenia osobnej komisyi, która porobiwszy pewne zmiany, przekazała drugiemu zjazdowi. Od tego atoli czasu zaszły w prawodawstwie fabrycznem znaczne reformy, więc departament górniczy nie uznał za możliwe urzeczywistnienia tej ważnej istytucyi, ale polecił rozważyć projekt ponownie na trzecim wiecu w Warszawie (w marcu r. b.). Obecnie zatwierdzono już urzędowo jedną z tych ustaw, mianowicie — kasy pomocy dla zakładów przemysłowych I i III-go okręgu w Królestwie Polskiem. Oto osnowa jej warunków, według ostatecznej redakcyi: Zadaniem kasy jest dopomagać członkom w razie choroby, lub ich rodzinom w razie śmierci. Uczestnicy dzielą się na trzy grupy: 1) pobierający wynagrodzenie wyższe nad 400 rs. rocznie, 2) zarabiający 200—400 rs. i 3) mający mniej niż 200 rs. rocznie dochodu. Do kasy wnoszą co miesiąc: członkowie pierwszej grupy 35 kop., 2-ej — 25 i 3-ej 15 kop. i od tego obowiązku nie są wolni nawet w razie choroby. Taką samą kwotę wnoszą również pracodawcy. Przewyżka dochodu nad wydatkami stanowi żelazny kapitał zapasowy. Jeżeli wszakże nadwyżka od każdego członka wyniesie 20 rs., zarząd może tę sumę zużytkować na ogólne potrzeby robotników. Przy układaniu budżetu dorocznego zarząd ma prawo podnieść normę składek miesięcznych większością $^2/_3$ głosów. Kasa zapewnia swoim członkom w razie choroby bezpłatną pomoc lekarską i środki lecznicze a dla ich żon i dzieci (do lat 15-tu) tylko pomoc lekarską. Nadto: zapomogę pieniężną podczas choroby, uniemożliwiającej zarobek i — na pogrzeb zmarłych członków. Zapomogi podczas choroby wydawane są (w obliczeniu dziennem bez wyjątku świąt i niedziel) w następującym stosunku: dla 1-ej grupy po 40 kop. żonatym, 30 kop. kawalerom; 2-ej — 30 kop. żonatym, 20 kawalerom; 3-ej — 20 kop. żonatym, 12 kawalerom. Ci ostatni przyjęci do szpitala, nie otrzymują zapomogi; żonaci — połowę oznaczonej kwoty. Pozbawieni są zasiłku chorzy, spełniający różne roboty bez pozwolenia lekarza, uczęszczający do szynków i „trwoniący pieniądze na zbytki.“ Okres trwania zapomogi oznaczono do trzech miesięcy, a w razach wyjątkowych do pół roku. Zasiłki na pogrzeby wydawane są bez względu na kategorye w kwocie po 15 rs.; w razie zaś jeżeli śmierć wynikła z wypadku podczas pracy — po 25 rs. *). Dopóki nie powstanie kasa emerytalna, zabezpieczająca losy inwalidów, wdów i sierot, zarząd obecnej ma prawo, o ile będzie rozporządzać odpowiedniemi funduszami, wydawać nadzwyczajne zapomogi kalekom, wdowom i sierotom i nie pozbawi ich prawa korzystania z tych zapomóg, jeżeli w przyszłości nie zostaną wliczeni w poczet członków kasy emerytalnej. Uczestnik, samowolnie porzucający zakład, lub wydalony za wykroczenia, nie otrzymuje zwrotu wkładów. Zarząd kasy składa się z 6-ciu członków w równej liczbie ze strony pracodawców i robotników. Z prawa wyborów korzystają wszyscy pełnoletni członkowie kasy, przy tej zaś czynności przewodniczy starszy urzędnik techniczny fabryki lub kopalni. Sposób wybierania — ustny, przy zastosowaniu absolutnej większości. Wybory odbywają się co trzy lata, członkowie zaś pełnią swe obowiązki bezinteresownie. Do nich należą wszelkie sprawy instytucyi, układ budżetu, przyznawanie zapomóg itd. Kasa może być zamknięta, jeżeli członkowie zechcą się przyłączyć do innej, albo w razie zawieszenia czynności fabryk i kopalń. W tym ostatnim wypadku zarząd orzeka o przeznaczeniu funduszów, w pierwszym,

*) Według ustawy, zredagowanej na ostatnim zjeździe, paragraf ten brzmi inaczej: Na pogrzeby uczestnicy pierwszej kategoryi otrzymują rs. 12, 2-ej 10, 3-ej — 8. Na pogrzeby członków zmarłych skutkiem poniesionego szwanku przy pracy — 18 rs. Nadto dodano zastrzeżenie, że w wyjątkowych wypadkach przewlekłych chorób, uczestnicy otrzymują nadzwyczajne zapomogi.

cały kapitał przechodzi do nowej kasy. Powyższa ustawa, jako normalna, jest obowiązująca dla wszystkich zakładów górniczych. Wkrótce zatem, zatwierdzona przez władzę właściwą wejdzie w życie i będzie pierwszym faktem tego rodzaju organizacyi u nas. Wielkie ma znaczenie paragraf, w którym powiedziano, że dopóki nie powstanie kasa emerytalna, zabezpieczająca losy inwalidów, wdów i sierot, zarząd ma prawo, o ile możności, wydawać zapomogi nadzwyczajne osobom tej kategoryi, nawet i wtedy, gdy już kasy emerytalne powstaną. Tym sposobem poniekąd będzie zapełniona tymczasowo wielka luka, o której usunięciu na zachodzie Europy dawno już pomyślano.

Wogóle wielkie rzesze pracowników w przemyśle górniczym, pomimo znacznego rozwoju tej gałęzi produkcyi w Rosyi, dotychczas nie mają obwarowanej przyszłości na drodze prawodawczej na wypadek choroby, kalectwa lub niedołęztwa. Obecny ruch, acz powolny, w tym zakresie jest zapowiedzią szerszych reform. Robotnicy w zakładach prywatnych dotąd nie mają żadnej organizacyi, zabezpieczającej ich przyszłość. Prawo inicyatywy w tej mierze rząd pozostawił właścicielom zakładów górniczych, ale oni wolą nie korzystać z tego. „Zupełny brak kas pomocy dla robotników w zakładach prywatnych— powiada p. Keppen *) — rodzi przekonanie, że korzyść, jakiej się należy spodziewać od takich urządzeń, jeszcze nie jest oceniona przez ruskich przemysłowców; nawet nie są oni obeznani ze stanem tej sprawy w innych państwach. W przeciwnym razie rozumieliby dobrze wypływający z tąd dla nich samych pożytek.“ Przed laty dziesięciu rocznik statystyczny (1883) gub. tambowskiej podał smutny obraz położenia robotników w tamtejszych zakładach górniczych: „Bez przesady powiedzieć można, że wszyscy oni głód cierpią.“ Wiele rodzin doszło do żebractwa. Dotąd w zakładach hutniczych i kopalnach warunki na lepsze się nie zmieniły. W roku bieżącym podczas żniw (wedle doniesień korespondentów) robotnicy porzucali szachty donieckie i gromadnie dążyli w pole, gdzie im lepiej płacono. Obok uciążliwej pracy z ponurym widnokręgiem przyszłości, robotnicy są narażeni na ciągłe wypadki, więc oprócz szybkiego stargania sił, czeka nieraz kalectwo. Czy wobec tego zabezpieczenie przyszłości pracowników należy zostawić do woli właścicieli zakładów? W ostatnich czasach widzimy dążność do ustalenia dróg prawodawczych w tym względzie.

Ale co w obrębie państwa ruskiego dziś zaledwie znaczenia nabiera, na Zachodzie Europy miało wielką wagę od bardzo dawna. Przeszło przed pięciuset laty w Niemczech istniały stowarzyszenia robotnicze, mające na celu utrwalanie podstaw materyalnych. Gdy przemysł górniczy w Germanii po upadku znowu zaczął się podnosić i rozwijać, kwestya robotnicza w XV i XVI stuleciu stała się palącą. Społeczeństwo rozumiało, że istnienie tego odłamu pracy ściśle jest związane z bytem żywych jego podstaw w postaci ramion ludzkich. Już wtedy przepisy zastrzegały, że robotnikowi, który poniósł szwank podczas pracy, właściciel powinien zapłacić pensyę za cztery tygodnie i przyjąć na się koszt leczenia **). Wedle brzmienia innych przepisów (z r. 1564), każdy górnik, należący do stowarzyszenia, powinien wnosić do kasy składki tygodniowe i procent od zarobku. Właściciele obowiązani byli wnosić ze swej strony 1% od produkcyi surowych przedmiotów. Prawo henneberskie (r. 1566) zastrzega budowę domu (warunkowo) dla wszystkich tych, którzy doznali kalectwa lub się stali niezdolnymi do pracy skutkiem wysiłku w zakładach górniczych. Przytułek ten miał być utrzymywany z procentów od kapitału kasy stowarzyszenia. W razie kalectwa, właściciel wypłaca pensyę w stosunku ośmiotygodniowego zarobku, gdy kopalnia jest czynna i za cztery tygodnie, jeżeli nieczynna. Nadto robotnik otrzymuje opłatę kuracyi. Podobnych przepisów dla licznych stowarzyszeń górniczych było mnóstwo. Między innemi zastrzegano pomoc dla wdów i sierot w razie śmierci robotnika w kopalniach (prawo ogłoszone przez Fryderyka Wielkiego 29 kwietnia 1766 r.). Na początku niniejszego stulecia podczas zajęcia prowincyi nadreńskich przez francuzów, przywileje nadane przez powyższego monarchę ludności górniczej w Westfalii, były zniesione. Później atoli (r. 1824) ogłoszono nowe prawo, ustanawiające stowarzyszenie górnicze z obowiązkowymi wkładami uczestników tudzież właścicieli zakładów ($^1/_{20}$ dochodów). Chorzy i pokaleczeni leczyli się darmo. W razie choroby przewlekłej, przez osiem tygodni płacono codziennie (z wyjątkiem niedziel) zapomogę, odpowiednią do wkładów. Przy dłuższej niemocy, chory w ciągu pięciu następnych tygodni otrzymywał połowę poprzedniej zapomogi. Gdy zaś i nadal w ciągu trzech miesięcy robotnik nie był zdolny do pracy, zaliczano go do czasowych inwalidów ze stosowną pensyą. Uczestnicy stowarzyszenia dzielili się na pięć kategoryi. Jeżeli który z nich skutkiem starości i wogóle wyczerpania sił, musiał przejść do działu robót niższej grupy, nie tracił prawa do pensyi według wyższej kategoryi, jeśli wnosił odpowiednie wkłady. Pensya dla wdów wynosiła $^2/_3$ płacy inwalida. Dzieci robotników nie zdolnych do pracy otrzymywały do 15 roku zapomogi. Wszystkie wogóle dzieci członków stowarzyszenia i inwalidów uczyły się darmo w szkole początkowej, w razie zaś szczególnych zdolności, towarzystwo przyjmowało na się dalsze kształcenie.

Na takich mniej więcej podstawach rozwijały się w całych Niemczech stowarzyszenia górnicze, o tyle wszakże, o ile przyczynił się do tego nacisk prawa. Dla skutecznych i jednolitych działań w tej mierze, ogłoszono 10 kwietnia 1854 r. w Prusach osobną ustawę, wedle której udział w tego rodzaju związkach górniczych musiał być obowiązkowym dla wszystkich zakładów przemysłowo-kopalnianych. Zabezpieczenie bytu nabrało nieco odmiennej formy; stowarzyszenia otrzymały zarząd samodzielny i pozbyły się charakteru filantropijnego. W całych Niemczech stworzono dwie główne grupy, z których jedna przyjęła podstawy ogólnego prawa pruskiego w zakresie górnictwa (z 16 czerwca 1865 r.), druga — prawodawstwa saskiego (z 22 maja 1851 r. i 16 czerwca 1868 r.). Przy typowem towarzystwie fryburskiem utworzono tak zwaną kasę szkolną, dla popierania nauki dzieci. Członkowie, zarabiający tygodniowo więcej niż 18 marek tudzież emeryci otrzymują z tej kasy po 6 fenigów na każde dziecko, uczęszczające obowiązkowo do szkoły. Oprócz składek uczestników, kasa otrzymuje zasiłek rządowy 6000 marek rocznie.

Na przekształcenie powyższej organizacyi znacznie wpłynęło prawo o ubezpieczeniu od chorób, wydane dla całych Niemiec 15 czerwca 1883 r., nadto, jako następstwo jego — ustawa w Saksonii, ogłoszona 2 kwietnia 1884 r. Pod działaniem tych przepisów kasy rozpadły się na dwa odrębne typy: osobne dla chorych i — emerytalne.

Zen. Piet.

*) A. Keppen, inż górn. „Kasy pomocy dla robotników górniczych (Towarzystwa górnicze).“ Petersburg. 1885 r.

**) Przepisy nassausko - katzenelenboheńskie z roku 1559.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Reformy u steru. Na razie środki materyalne nie pozwalają na przekształcenie ministeryum dóbr państwa i utworzenie ministeryum rolnictwa w takim zakresie, jaki pierwotnie zamierzono. Miały być dwa departamenty rolnicze: techniczny i ekonomiczny. Obecnie uznano za możliwe ograniczyć się do jednego departamentu rolnictwa i hodowli bydła. Powstanie on z istniejącego „departamentu rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego“ przez odpowiednie rozszerzenie i dodanie nowych wydziałów. Zamiast zaś projektowanego poprzednio drugiego departamentu rolnictwa, utworzony będzie oddział ekonomii i statystyki wiejskiej tudzież oddział melioracyj rolnych. Z pierwotnych projektów bez zmiany pozostają: reforma departamentu spraw ogólnych, utworzenie kancelaryi ministra oraz pozostawienie departamentów leśnego i górniczego. Przekształcona instytucya sternicza będzie nosić urzędową nazwę: „ministeryum rolnictwa i dóbr państwa.“

— Według doniesień dzienników petersburskich, senat ma wkrótce zawyrokować, czy dewastacya majątku, wystawionego na sprzedaż przez Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiem, powinna być ścigana sądownie, jeżeli otrzymana na licytacyi suma pokryła całkowicie pożyczkę Towarzystwa.

— *Gazeta losowań* zaznacza, iż poraz pierwszy od lat kilku procenty hypoteczne (pierwsze n-ry po Towarzystwie) ujawniają dążność zwyżkową. Wskutek znacznego ruchu budowlanego, kapitały hypoteczne bardzo są *poszukiwane* na 6%, kiedy niedawno *ofiarowywano* je po tej stopie. Kapitaliści żądają 6$^1/_2$% i na takich warunkach zawarto kilka tranzakcyi.

— W dniu 13 b. m. zniesiono taryfy specyalne na przewóz towarów tkackich i przędzy wełnianej i bawełnianej w kierunku Łódź-Petersburg, oraz Łódź-Moskwa i odwrotnie, wprowadzono zaś taryfy ogólne.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Przed przeprowadzeniem powszechnego spisu ludności, ministeryum spraw wewnętrznych sporządzi dokładną listę cudzoziemców, zamieszkujących w prowincyach zachodnich i południowych. Wobec tego, jak donosi *Rusk. żizń* — koloniści cudzoziemcy, zarówno poddani ruscy, jak i zagraniczni, zamieszkujący w granicach generał-gubernatorstw kijowskiego i warszawskiego tudzież w guberniach południowych, nie mogą się uchylać od dawania wymaganych o sobie szczegółów i składania dokumentów. Przybywający świeżo oraz przenoszący się z jednej miejscowości do drugiej, powinni się zgłaszać do władz włościańskich (podczas spisu) i okazywać im swe dowody. W miastaeh i miasteczkach dokumenty powinny być składane w urzędach policyjnych, te zaś obowiązane są prowadzić dokładne listy, dotyczące ruchu cudzoziemców. Właściciele majątków i ich administratorowie przy oddawaniu gruntów drobnym dzierżawcom pochodzenia cudzoziemskiego, powinni w ciągu tygodnia złożyć w gminach i urzędach włościańskich wykaz wzmiankowbnych osób. Uchylający się od powyższych przepisów podlegać będą karom administracyjnym.

Szkoły. W końcu r. 1892/3 w warszawskiej szkole dentystycznej było 83 uczniów i uczenic, przez czas feryi ubyło 2, wstąpiło 75, w ciągu roku ubyło 8, pozostało 148 (75 kobiet i 73 mężczyzn).

— Ministeryum dóbr państwa wprowadzi w r. p. zwyczaj składania egzaminów publicznych przez słuchaczów szkół rolniczych. O ile możności, odbywać się one będą podczas wystaw rolniczych, inwentarza itp. Uczniowie obowiązani będą odpowiadać wobec publiczności na zadane pytania z zakresu hodowli zwierząt, rolnictwa, gospodarstwa mlecznego itd.

— Zgodnie z wnioskiem tutejszej władzy edukacyjnej, ministeryum oświaty pozwoliło przyjmować do Instytutu nowoaleksandryjskiego wychowańców szkół rolniczych (pozostających pod kierunkiem ministeryum dóbr państwa) i seminaryów duchownych. Kandydaci, na równi z innymi, muszą składać egzaminy konkursowe.

— Ministeryum oświaty zajęte jest obecnie opracowywaniem ustawy normalnej towarzystw dla udzielania pomocy młodzieży szkolnej.

— W Petersburgu powstanie szkoła masażystów, do której będą przyjmowani także ociemniali, za przykładem Japonii.

Zdrowie publiczne. Skutkiem rozporządzenia landrata toruńskiego, komunikacyę między Prusami a powiślem nieszawskiem, oprócz kolejowej i wodnej, wstrzymano w zupełności. Liczne partye robotników cofnięto z drogi. Na całem pograniczu od strony pruskiej urządzono kordon. Pasażerowie kolejowi podlegają powierzchownym oględzinom lekarskim w Aleksandrowie.

— W Warszawie wzmocniono nadzór nad handlem starych szmat.

Sprawy kolejowe. Spółka kapitalistów francuskich tudzież paryzkie towarzystwa akcyjne kolejowe zaproponowały rządowi rusklemu swoje kapitały na budowę dziewięciu od dawna już projektowanych linii, których urzeczywistnienie odkładano z różnych powodów. Kapitaliści biorą na siebie budowę i eksploatacyę bez żadnej rękojmi ze strony rządu, z jednym tylko warunkiem, aby państwo po 25 latach koleje te wykupiło. (*Rusk. żizń*).

— Wkrótce kończy się 25-lecie eksploatacyi kolei Moskiewsko-Brzeskiej: Rząd skłonny jest do zostawienia nadal temu samemu Towarzystwu owej linii, ale już na prawach dzierżawnych.

Wystawy i zjazdy. Otwarcie wystawy wyrobów skórzanych w Warszawie nastąpi w nadchodzącą niedzielę 29 b. m.

— Na 27 b. m. zapowiedziano otwarcie wystawy pszczelniczej w Petersburgu.

— Między 3 a 11 stycznia r. p. odbędzie się w Moskwie zjazd lekarzy i przyrodników.

— W Londynie 21 b. m. otwarto czwarty doroczny zjazd dziennikarzy.

Zmarli. Ludwik Spangenberg w Berlinie. Znany pejzażysta.

— Prof. Deutsch w Budapeszcie, redaktor *Pester Lloyda*, zmarł na cholerę.

— Ercole Rosa w Rzymie, znany rzeźbiarz.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy ogłoszenie księgarni Obuchowskiego.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 15 Октября 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.